Nr. 5. Lwów, Niedziela dnia 1. Października 1876 r. Tom IV.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

V.

Do komitetu wydawnictwa pism ludowych we Lwowie.

Ci tylko ludzie wykonują co chcą, którzy posiadają ten sekret, iż umieją odgadnąć, kiedy najsposobniejsza pora brać się do urzeczywistnienia jakiegokolwiek przedsięwzięcia.

Kto we właściwym czasie nie posieje, ten może z głodu umrzeć, będąc posiadaczem obszernych łanów. A górskim potokiem, który zresztą prawie niewidzialnie sączy się pomiędzy kamienie, można spławiać olbrzymie pnie — jeżeli szczęśliwie pochwyci się moment wezbrania wód jego. Badając też genezę działalności genjuszow, stanowiących epokę w historji ludzkiej, można się przekonać, iż zawsze podnosili oni tylko tę myśl, która w tej porze, kiedy oni żyli, nurtowała w duszy ich narodu albo też ludzkości całej: co przed nimi było tylko przeczuciem, ideałem niewyraźnie określonym, temu oni umieli nadać byt rzeczywisty — tem ugruntowali sobie sławę wiekopomną.

Gdy zaś dawniej pojedyncze osobistości genjalne na całe wieki naprzód wskazywały narodom drogi postępowania, to dziś myślący ogół każdej społeczności powinien samoistnem rozumowaniem wywnioskować, w jakim kierunku jego rozwój cywilizacyjny należałoby zwrócić: do jakiej pracy w danej chwili wziąć mu się wypada?

Najwybitniejszą cechą ostatnich lat historji naszego narodu jest dążność do rozbudzenia obywatelskiego poczucia w masach ludowych. To jest niezawodnie najpiękniejszym owocem powstania z r. 1863, iż wyrobiło ono w nas poczucie konieczności uobywatelenia ludu: duch dziejów wypisał nam wtedy straszliwem pismem, czytelnem i dla najzaciętszego wstecznika, pismem mogił i zbielałych kości ofiar tej walki, przestrogę: Bez ludu jesteście niczem!

I gdy zaledwie przed parą dziesiątkami lat tylko poeci i spiskujący tajemnie marzyciele polityczni prawili o potrzebie współdziałania mas ludowych w politycznej akcji narodu, to teraz właśnie najchłodniejsi realiści, którzy wcale nie lubią kierować się w swoich poglądach jakiemikolwiek idealnemi względami, przyznają, iż bądź co bądź jest nas przecie za mało, abyśmy zdołali utrzymać się na powierzchni dziejów, gdy ludowe masy nie poczują się do solidarności z nami.

Przechodząc szczegółowo do spraw naszej prowincji zauważyć należy, iż powołanie wskutek zaprowadzenia urządzeń konstytucyjnych wszystkich warstw ludności kraju do czynnego współudziału w ustawodawstwie i administracji, od razu nadało praktyczną formę sprawie uobywatelenia ludu. Dopiero w salach rozpraw parlamentarnych, w odezwaniach się posłów włościańskich jaskrawo uwydatniło się, jak gwałtowna zachodzi potrzeba pomyśleć o wzmożeniu oświaty elementarnej. Posypała się ogromna moc mniej lub więcej bombastycznych, mniej lub więcej szczerze pomyślanych artykułów dziennikarskich i krasomowczych argumentów, dowodzących potrzeby pilnego zajęcia się sprawą oświaty ludowej, i powstało nawet parę stowarzyszeń, specjalnie temu celowi poświęconych. Aż nareszcie po dziesięciu latach pisania i gadania o oświacie ludowej, ustawodawstwo krajowe uczyniło pierwszy stanowczy krok na tej drodze, uchwalając cały szereg ustaw szkolnych, które wychowaniu elementarnemu nadały silny a racjonalny ustrój. Budżet szkół ludowych zaczął wzrastać z roku na rok z nadzwyczajną szybkością i obecnie zasada przymusu szkolnego staje się z każdym rokiem bliższą urzeczywistnienia.

Tyle uczyniono dla przyszłej generacji.

Zaszły jednakże rozmaite okoliczności, które zniewoliły lud do tego, iż teraz on sam z własnej inicjatywy coraz ochotniej do cywilizacji się garnie. Włościanie i kapotowcy, zasiadający w ciałach reprezentacyjnych, wchodzą w bezpośrednie zetknięcie towarzyskie z osobami wysokiego wykształcenia — a to uszlachetnia ich pojęcia, bo daje im poznać namacalnie, o ile bogactwo wiedzy podnosi pod każdym względem wartość człowieka. Szybko wzmagające się wywłaszczanie ludności rolniczej i rzemieślników z ich dziedzicznych posiadłości przez obce żywioły — wywłaszczanie, którego jedynym i wyłącznym powodem są wady i narowy, mające swe źródło w ciemnocie umysłowej, jak mianowicie niedbalstwo o własne dobro, pijaństwo, bezrozumne pieniactwo i nieporadność, budzi w umysłach ludu nieudane pragnienie oświaty: on czuje, że chodzi po świecie jak z zawiązanemi oczyma. Dawny tryb życia t. j. bezmyślne wegetowanie z dnia na dzień, pijatyki i bójki karczemne tracą dawny powab dla chłopów. Coraz ciekawiej dopytują się, co słychać na szerokim świecie, dysputują o tem, „co porabiają monarchowie“ — a co najlepsze, że zaczynają zastanawiać się nad tem, czy nie ma dla nich sposobu wydźwignąć się z teraźniejszego poniżenia i przykrych stosunków materjalnych, w jakich obecnie się znajdują? Jednem słowem, lud zaczyna na prawdę myśleć, sam szuka przewodników, którzy wprowadziliby go, w ciemnocie błądzącego, na tor oświaty szczerej...

Więc oświeceńsza część narodu uważa teraz za główne nasze zadanie społeczne, dążyć do uobywatelenia mas ludowych, a lud sam także pragnie zdrowej oświaty.

Zapytujemy przeto, czy ze wszech względów nie jest teraz właśnie najbardziej „na czasie“ zająć się krzewieniem zdrowych zasad postępowych w masach ludowych — ale zająć się tem na prawdę, nie z amatorską pobieżnością?

Zapewne w poczuciu tej potrzeby zawiązał się przed rokiem we Lwowie komitet dla wydawnictwa dziełek i pism ludowych, złożony z osób wypróbowanego patrjotyzmu, które też niejednokrotnie złożyły dowody, iż praca nad szerzeniem oświaty pomiędzy ludem nie jest dla nich frazesem pustym.

O zadaniach komitetu wydawnictwa dziełek ludowych inny autor umieścił w „Tygodniu“ uwagi swoje. Dziś z całym naciskiem ośmielamy się tylko przypomnieć temu szlachetnemu gronu patrjotów, aby jeden z najważniejszych i najskuteczniejszych środków szerzenia zdrowych pojęć cywilizacyjnych w masach ludowych, mianowicie: dziennikarstwo popularne, nie pozostawiali w rękach tak niebezpiecznych agitatorów jak ks. Nau-

mowicz lub ks. Stojałowski. Każdy z nich w odmiennym guście, lecz obaj oni jednakowo są niebezpieczni dla spokoju społecznego i zdrowego postępu — jeden jako redaktor moskiewsko-szyzmatyckiego pisemka p. t. „Russkaja Rada,“ drugi zaś jako redaktor „Wieńca“ i „Pszczółki“ szerzących jezuickie pojęcia o kościele wojującym.

Nie ma zaś ani jednego czasopisma ludowego dla szerzenia w mniej oświeconych masach uczciwych pojęć o pracy organicznej w imię zasady: „Pomagaj sam sobie, a Bóg ci dopomoże,“ pisemka, któreby wojowało tylko przeciwko tym złym nawyczkom i wadom charakteru ludowego, które są źródłem jego nędzy moralnej i materjalnej, nie zaś przeciwko jakimkolwiek doktrynom politycznym lub religijnym, o których lud nasz zresztą pewnie nie wiele wiedziałby, gdyby niestety nie plątały go w te spory przewrotnie redagowane czasopisma.

Książeczki w tym razie potrzebie nie zaradzają. Potrzeba koniecznie postarać się o pismo perjodyczne, które powoli ale ustawicznie pracowałoby nad szerzeniem zdrowych pojęć społecznych i ekonomicznych w ludowych masach. Nie zaniedbujmy sposobnego czasu do posiewu uczciwego ziarna prawdy, jeżeli nie chcemy doczekać się chwastów i kąkolu na ojczystej roli...

Jeżeli to prawda, że oświata ludu jest teraz jednem z najpilniejszych zadań naszych, i jeżeli temu nie można zaprzeczyć, że dziennikarstwo stanowi jeden z najskuteczniejszych środków do wszczepiania jakichkolwiek zasad w masy, to jasnem jest, iż postaranie się o dobrą polityczną gazetkę dla włościan jest teraz najbardziej „na czasie.“

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Justysia wyrosła na zachwycającą dzieweczkę, jak była anielską dzieciną, kwiatkiem przecudnym, którego i blask i woń podziwiali wszyscy. Żeliga przyczynił się też wielce do zbogacenia jej umysłu rozlicznemi wiadomościami, ale dorastając można powiedzieć dziewczę wybujało, i stało się aż do zbytku jakąś nieziemską istotą. Było w niej coś wieszczego, natchnionego, jakieś jasnowidzenie niby prorocze, jakaś wszechwiedza i przeczucie przerażające. Nie żyła życiem powszedniem, ale jakby wygnaniec z innego świata, z oczyma wlepionemi w niebo, zasłuchiwała się w milczeniu, jakby jej uszy niepochwyconemi dla innych napawały się dźwiękami, zamyślała się godzinami, budziła nie łatwo do rzeczywistości, niby żałując straconych widziadeł... Matka i ojciec przelęknięci tym niezwyczajnym stanem dziewczęcia, czynili co tylko mogli, aby ją tym zachwytom odebrać, obawiali się o nią... starali się bawić, rozrywać, rozweselać... Justysia była im posłuszną, ale od zabawy w chwili, gdy najmniej można się tego było spodziewać, wracała do swej zadumy i snów niebieskich.

Najmocniej przerażoną tym stanem córki była matka, jej serce widziało w nim jakąś nieokreśloną groźbę dla życia i przyszłości jedynaczki. Sam p. Marcin, chłodniej się na to zapatrujący, utrzymywał, że przejść musi później, gdy małżeństwo i życie domowe na ziemię ją sprowadzą... ale Justysia o pretendentach, którzy się zjawiać zaczęli, nawet słuchać nie chciała.

Zagadywana ostrożnie, parę razy odpowiedziała, że jej najlepiej jest w domu, że o mężu myśleć nie chce... a gdy raz rozmarzoną matka badała, jakby nie chcący odezwała się:

— Żeliga o tem pomyśli... on mi da tego, na którego ja czekać muszę...

Było to tak zagadkowe, tak dziwaczne, że biednej pani Marcinowej aż się serce ścisnęło, modliła się, płakała, wreszcie gdy to parę razy powtórzyła Justysia zawsze prawie słowy jednemi, biedna matka Bóg wie co myśląc postanowiła rozmówic się z Żeligą.

— Mój dobry przyjacielu — odezwała się gdy została sam na sam, — cóżeś to ty w głowę nabił Justysi... co to jest, powiedz, ciągle mi prawie że... ty jej tam jakiegoś męża masz przyprowadzić?

— Ja?—zawołał zdziwiony Żeliga—ja?

— Jakto? alboż o tem nic nie wiesz?

— Pierwszy raz jak żyw słyszę...

— Cóż to jest? nie domyślasz się.

Żeliga spuścił głowę, ruszał ramionami, dumał długo.

— Nie rozumiem, — rzekł — Justysia ma czasem takie przeczucia dziwne, że ich rozum zwyczajny nie doścignie... to jest coś takiego o czem ja wyobrażenia nie mam...

Gdy później toż samo Justysia znowu powiedziała matce, pani Marcinowa reflektując ją odezwała się:

— Ale moje serce, Żeliga o tem nic nie wie...

— Tak jest, Żeliga nic nie wie o tem, odpowiedziało dziewczę uśmiechając się spokojnie, ale to się stanie jak ja powiadam... niech już matusia będzie pewna...

Jednego jesiennego wieczora, pani Marcinowa, że we dworze było trochę duszno, a roje much dokuczały, pod starą lipą nakryć kazała do stołu; wszyscy się tedy wynieśli i zasiedli na rozmowę. Był i Żeliga, ale od dwóch dni chodził dziwnie jakoś zamyślony i smutny.

— Co to tam waszeci? — spytał go p. Marcin, — chodzisz coś jakby nie swój, gdybyś się zwierzył, możebyśmy co poradzić potrafili.

— Ale co jegomości w głowie! co mi ma być! — odparł Żeliga — nic mi nie jest tylko że parno, a na burzę się gotuje, to człek w istocie chodzi jak osowiały... Dobrześ waszmość rzekł, prawda żem nie swój, ale to nic...

— To nic?—spytał patrząc mu w oczy p. Marcin.

— A no nic... I umilkli.

W tej chwili podobne usłyszawszy pytania panna Agnieszka mrugnęła na gospodarza i odprowadziła go nieco na bok.

— Zdaje mi się — odezwała się nieśmiało — że Żeliga do drogi się jakiejś gotuje.

— Zkądże to wnosisz?

— Kozaczek mnie ostrzegł, że go widział jak układał i pakował.

— To go wręcz o to zapytam, — rzekł p. Marcin.

— A! niech Bóg broni! nie mów pan nic, tylko go trochę miejcie na oku.

I zarumieniła się mocno, Barciński spojrzał na nia, łzy kręciły się jej w oczach, ale szybko odeszla. W tej chwili nadbiegła Justysia...

— Słuchaj — rzekł ojciec, — tobie to wolno, pono Żeliga coś myśli o podróży. Spytaj go.

— Nie trzeba—odpowiedziało zamyślając się dziewczę — nie trzeba.

— Dlą czego?

— Już ja wiem dla czego, ale powiedzieć nie mogę — szepnęła Justysia — zostawcie mu wszelką swobodę...

— Dla czegoż mnie zbywasz zagadką? zapytał p. Marcin.

— Ojcze! — zawołała ściskając go — w tem jest wszystko zagadką, ale dzień przyjdzie, gdy się ona rozwiąże... ja to czuję. Nie męczcie go...

Smutnie popatrzył na dziewczę Barciński, a tak był nawykł czynić wolę jej, że i tym razem uległ.

W istocie inaczej jakoś tego dnia chodził Żeliga pod lipą, śmielszy, weselszy chwilami; panna Agnieszka spoglądała nań z jakimś strachem, on na nią z niezwyczajną czułością. Była chwila gdy państwo Marcinostwo oddalili się ku gospodarstwu, a Justysia jakby naumyślnie odbiegła za niemi i Żeliga sam na sam pozostał z panną Agnieszką. Milczeli długo oboje, wreszcie przybysz usiadł przy niej i począł głosem, w którym niezwykłe wzruszenie czuć było.

— Człowiek nie wie dnia ani godziny... — rzekł powoli — zawsze więc pora, gdy serce pełne, wylać z niego uczucie poczciwe którego się może wypowiedzieć nie zdarzy. Mam wielką dla was wdzięczność...

— Za cóż takiego?

— Za dobre serce wasze, dla nieznanego przybysza... za wiarę waszą w poczciwość, za zaufania trochę, za litość i miłosierdzie... Powiem wam teraz, że żyłem długo oczekując kobiety, którąby zawierzyć chciała, i miłosierdzia jałmużnę szczerej przyjaźni mi wyświadczyć, a nie znalazłem nikogo litościwego i dobrego, dopókim was nie poznał... Nic nie mówi za mną, jestem ubogi, bez imienia, włóczęga, prędzej mieliście prawo po mnie złego niż dobrego dorozumiewać, a jednak... Bóg wam zapłać, pocieszyliście mnie, i dali mi lat kilka nie zmąconego niczem szczęścia, gdy mi się ono nie należało. Ubogiem słowem wdzięczności dziś się tylko wypłacić mogę, lecz wierzcie mi, panno Agnieszko, że bądź co bądź nigdy tego nie zapomnę, a wiekuistą wdzięczność poniosę z sobą do grobu...

Słowa te jakoś uroczyste, smutne, potwierdzając domysły panny Agnieszki, przeraziły ją bardzo, zmięszała się i cała drżąca chciała coś odpowiedzieć, słów jej zabrakło; on mówił dalej:

— A wy nie zapomnicie też o mnie?

— Mój panie—odezwała się kobieta— pochwaliliście może nie zasłużone serce moje; znacie więc je, że złem nie jest. Bolało ono

wiele, pragnęło przyjaźni, znalazło ją i nie rzuci tego skarbu nigdy w życiu... Ale dla czego mi to mówicie?...

— Sam nie wiem — odparł Żeliga — cokolwiek by się stało, proszę was, zaufajcie mi... Na świecie nic powiedzieć niepodobna... wszystko się stać może co najnieprawdziwszem się zdaje... gdyby się kiedy los mój zmienił, gdybym miał strzechę ubogą... imię i rodzinę, czybyście też nie wzgardzili mną i biedą moją?

Było to bardzo wyraźne, chociaż warunkowe oświadczenie, panna Agnieszka spłonęła cała, znowu zabrakło jej głosu.

— Będę na was czekać — rzekła — choćby do śmierci...

Żeliga zerwał się z siedzenia, do ust przyciskając jej rękę; szczęściem stary pień lipy i cień wieczora tę scenę oczom państwa Barcińskich zasłonił.

Zasiedli tedy wszyscy do koła stołu i jedna tylko panna Agnieszka na chwilę odbiegła aby ukryć pomięszanie swoje.

— Mój Boże — ozwał się po długim przestanku milczenia Żeliga — co też to życie ludzkie warto? ledwie się gdzie przywiąże, już mu odstawać potrzeba.

— Dla czego wy to mówicie? — zapytał p. Marcin.

— Ot tak mi przez myśl przeszło! — westchnął stary, a po chwili dodał:

— Któregoż to dzisiaj mamy?

— Wszakże pierwszy Semptembris, Idziego opata... a jutro Stefana... Na święty Szczepan, każdy se pan... ale to pono nie o tym Szczepanie mowa...

Żeliga się zamyślił.

— Tak — szepnął — nie ma wątpliwości; pierwszy Septembris, wszystko się kończy.

— Co się kończy? — spytał pan Marcin.

— A! lato! Czas płynie rączo... osobliwie też te roczki, którem z waszej łaski przebył w tym cichym zakątku.. będęż je będę całe życie pamiętał...

— Po co je pamiętać — przerwał markotno Barciński, — wszak ci je dalej snuć będziemy, spodziewam się długo jeszcze.

Żeliga nic na to nie odpowiedział.

W tem Justysia, która była wbiegła pomiędzy olchy stojące nad stawkiem, powróciła niosąc narwane przez siebie niezapominajki. Jednę ich gałąź rzuciła na kolana Żelidze.

Ten jakby przestraszony spojrzał jej w oczy, ona mu uśmiechnęła się tylko.

— Dla czego mnie tem darzycie? — zapytał.

— A cóżeście to wy tu mówili, kiedy mnie nie było? — szepnęła figlarnie.

Żelidze dwie łzy perliste zakręciły się w oczach, pochylił się przed nim i ojcowski pocałunek złożył na jej czole dziewiczem.

— Ja pamiętam, ale wy? — spytał cicho.

— O! my! o nas się nie obawiajcie, u nas z niezapominajkami pamięć o was rosnąć będzie... bodaj tylko gałązka ta u was nie zeschła.

— Ale cóż tak u kaduka rozczulacie się dzisiaj? — przerwał p. Marcin — dalibyście temu pokój, oto wazę na stół niosą, a ja myślę gorzałki przepić do przyjaciela Żeligi... W ręce wasze...

— Za zdrowie was wszystkich — zawołał podnosząc kieliszek Żeliga.

— Za pozwoleniem, to w ręce moje! ozwał się głos śmiechem przerywany z za lipy. Poznano po nim przychodzącego od wrot kuternogę, który wózek u bramy zostawiwszy, przystykulał do wieczerzy.

— Zkądże tak pożno?

— Z Chełma wracam...

— A nowego co przynosisz? — spytał Barciński.

— No nic, pustki i cisza...

— Ależ przecie? — zawołała Marcinowa — mogliście chcć plotkę jaką upolować.

— Kiedy mi się nie powiodła wycieczka — rzekł posępnie Achinger. — Wystawcie sobie państwo, jak jest trzy lepsze gospody na całe miasteczko, wszystkie zastałem zajęte, ani nosa wetknąć. Konie słuchały kazania na rynku... a ja odprawiwszy interesa moje drapnąłem co prędzej.

— A cóż to tam tak pełno w Chełmie? spytał pan Marcin, toć nie jarmark i nie odpust...

— Ani jedno, ani drugie — zawołał Achinger — ale to moje szczęście kulawe jak ja sam kulawy... Jeśli się wybiorę kiedy, nawet ducha nie znajdę.

— Pewnie kupcy z Rusi?

— Gdzie tam! jakiś dwór jaśnie wielmożnego pana, kozactwo zamaszyste, a wozy, a powodne konie, a hajduki, a różnego tałałajstwa co niemiara.

— Cóż to takiego?

— Ani się nawet dowiedzieć?

— Popasali?

— Na nocleg się roztasowali i na kogoś tam czekają... alem się reszty nie pytał, bo to lud butny a przyznam się żem się zaczepić obawiał.

— Miałeś pan dobrodziej wielką słuszność, odezwał się niespodzianie z końca stołu Żeliga — ja tych kozaków spotykałem nieraz w Chełmie, pewnie w sinej z żółtem barwie.

— Jakbyś ich jegomość widział — rzekł zdziwiony Achinger.

— To strasznie lud zawadjacki.., mówił Żeliga.

— Czyjeż oni są?

— Doprawdy nie wiem — rzekł pierwszy — ale oni często się tym gościńcem przejeżdżają i nigdy pono bez jakiej awantury się nie obejdzie... zwyczajnie widać lud wojenny, to mu się bitwy pragnie, aby zaczepka.

— Srodze ci wyglądają—dodał Achinger — dwór dobrany, chłop w chłopa, wąsy jak miotły, a bary jak u wołów. Pomknąłem się był pod gospodę do Chaima, ale jakem ich w szopie zobaczył, co prędzej się wycofałem; bo mi się już odgrażać zaczęli...

— Dobreś asindziej uczynił — dodał Żeliga z dziwnym uśmiechem — ja ich znam, to hajdamaki mości dobrodzieju...

Na tem skończyła się rozmowa o Chełmie, mówiono o tem i owem, a Żeliga i nie jadł i milczał. Po wieczerzy odjechał zaraz sąsiad, a oni siedzieli długo jeszcze pod lipą.

Gdy rozchodzić się przyszło, Żeliga żegnał się i dawał kilka razy dobranoc, a jakby odejść nie mógł, czy nie miał siły, wciąż do Marcinostwa powracał.

Było we wszystkich jakby jakieś przeczucie rozstania. jakby groźba z której sobie nie zdawano sprawy, bo nikt wszakże żadnej zmiany gwałtownej nie przypuszczał, oprócz może niespokojnej Agnieszki i jasnowidzącej ale dość wesołej Justysi.

Gdy się nareszcie rozstali, a panna Agnieszka poszła sama z Justysią, dziewczę odezwało się smutnie:

— Szkoda mi starego!

— Czy się lękacie o niego?

— Nie... ale mi go żal...

— Myślicie że nas opuści? — spytała panna Agnieszka bledniejąc.

Na to nic nie odpowiedziała Justysia, ale powtórzyła parę razy po cichu:

— Szkoda mi starego.

Z rana zaledwie trochę już niespokojna wstała panna Agnieszka, a była zawsze najwcześniej ze wszystkich zbudzona i słudzy się jej bardzo obawiali, bo zaraz do pracy ich też budziła. Kozaczek posługujący zawsze Żelidze, nadbiegł zadyszany, zapłakany do pokoju, stanął w progu i ręce załamał.

— A! panienko — zawołał — panienko! stało się nieszczęście... nie ma mojego starego...

— Jak to nie ma? cóż? co się stało!... krzyknęła ręce załamując panna Agnieszka... cóż? mów... umarł... o Boże!...

— Nie! nie! ale... przepadł... znikł...

— Jakto znikł! może tylko swoim zwyczajem do Chełma poszedł.

— Ale nie! już to ja wczoraj zmiarkowałem, że się coś złego gotuje, bo wieczorem mnie w głowę pocałował, dziękował mi, żem mu dobrze służył... i dał mi dziesięć bitych talarów... przez co potem prawie całą nockę oka zmrużyć nie mogłem, bom jeno myślał a myślał, co ja z niemi będę robił, czy luzaka kupić, czy cielaka... czy z przeproszeniem panienki... kobyłę...

— Ale mówże co się stało!

— A no. rano ja przychodzę, jak zwyczajnie po jegomościne buty, otwieram drzwi powoli, szaro było... mac... mac... szukam, gdzie zawsze stawia obówie... nie ma! aj źle myślę sobie... kiedy ja do łóżka... patrzę a ono nawet i nietknięte, jak była pościel z wieczora, tak została... tylko na stole papier leży... a starego ani słychu. . ani duchu i tłomoczka też.

— Gdzież ten papier?

— Papier? a no gdzie położył tam i leży, ja go tykać nie śmiałem...

Panna Agnieszka zerwała się spiesznie i pobiegła do oficyn; w izbie starego było w istocie pusto, na stoliku tylko znalazła kartę zapisaną, na której stały te słowa:

„Niechaj wam Bóg błogosławieństwem swem za długą gościnę zapłaci, za przyjęcie braterskie i ludzkie nieznajomego człowieka, za powolność i przyjaźń cierpiącemu okazywaną. Darujcie mi, że tak odchodzę... było potrzeba was opuścić i opuścić w ten sposób. Bóg, który losami ludzi rozporządza, sam jeden tylko wie, czy się kiedy jeszcze w tem życiu zobaczymy, ja mam nadzieję, że tego szczęścia doczekam.

*

Wspomnijcie też czasem przyjaciela, który po was jak po rodzinie serdecznej tęsknić będzie. Nie znaliście mojego prawdziwego nazwiska, kiedyś się go jednak dowiecie, były powody ważne, które mi je ukrywać nakazywały. Dla was ja zawsze zostanę wdzięcznym waszym

Zeligą."

Porwawszy papier, z którego tyle tylko zrozumiała panna Agnieszka, że żeliga nie był Żeligą,—pobiegła ze łzami w oczach, z sercem bijącem obudzić natychmiast pana Marcina i panią Marcinowę, zwiastując im ów wypadek. W jednej chwili cały dom był na nogach, wszyscy poruszeni do żywego. Justysia tylko uśmiechała się tęskno ale spokojnie szepcąc: że go jeszcze zobaczymy. Pani Marcinowa gniewała się, Marcin był mocno zakłopotany, sam zaraz siadł na koń i pięciu ludzi w różne strony rozesłał, przykazując aby koni nie żałowali. Tknięty jakiemś przeczuciem Barciński dotarł do Chełma i zetknął się w samej bramie miasteczka z ową kalwakatą, o której wczoraj wspominał Achinger, magnata jakiegoś jadącego zapewne na Ruś do dóbr swoich w której szło parę kolebek, kilka wozów, konie powodne i kozaków w barwie sinej z żółtem kilkunastu. Ledwie się z nimi rozminął bez szwanku, bo nie wiedzieć dlaczego spieszyli gdzieś i gnali, a jemu też pilno było i poczekiwać nie chciał... Dobiwszy się do gospody, dowiedział się tam tylko, że dwór jakiegoś kasztelana przybył na nocleg wczora, oczekując na niego samego do późnej nocy, że ów magnat nadjechał czy nadszedł gdy kury pierwsze piały, a rano spiesznie ruszyli dalej. Jedni utrzymywali że to był któryś z Potockich, drudzy że Lubomirski, ale służba miała usta zamknięte i od niej nic się dowiedzieć nie można było.

O Żelidze zaś nigdzie języka nie dostał. Smutny też do Barcina powrócił, gdzie gdy tego jednego człowieka nie stało, wszystko się teraz pustką wydawało. Siedli do stołu krzywi, miejsce jego zostało próżne, w rozmowie go brakło, brakowało go w gospodarstwie, wieczorem przy gawędce; panna Agnieszka nie pokazywała się nawet, a kozaczek mimo dziesięciu talarów bitych, długo płakał w oficynach. Szczęściem kupił sobie zaraz łoszaka, to go nieco pocieszyło, ale że się nie opatrzył i wziął niewyzołzowanego jak się okazało, zdechł mu później i dziesięć owych talarów przepadły. Wychudł też Sawka z tęsknoty i utrapienia tego tak, że go trudno było poznać.

(C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

9. Dziewiątą grupę wrażeń stanowi zmysł smaku. Jest on jakby chemiczną odmianą dotyku i najściślej z nim się łączy. Znaczenie jego jednak dla umysłowości jest znacznie mniejszem; wrażenia bowiem smaku są prawie wyłącznie podmiotowemi i nie tyle uczą ile budzą różnorodne uczucia czysto zmysłowej natury. Organem ich jest język i podniebienie — język, głównie w tylnej swej części, podczas gdy przednia wraźliwsza jest na czucie dotyku. Ta zaś jego własność polega na specjalnych gruczołkach smakowych obficie rozsianych po języku i większych aniżeli ciałka dotykowe. Właściwością smaku w odróżnieniu od dotyku jest to, że wymaga on koniecznie udziału płynów. Język suchy nie ma władzy rozpoznawania smaków. Gruczołki smakowe mają kształt maleńkich czareczek wgłębionych w środek i obejmujących delikatne zakończenia nitek nerwowych. Nerw smakowy nie jest ściśle odosobnionym od innych i łączy się z pewnemi nitkami ruchowemi. Zresztą jak przy dotyku tak i tu udział zmysłu mięśniowego jest prawie niezbędnym i poczucie nasze smaku bez *poruszania* językiem byłoby bardzo niejasne. Za to znów większa część naszych wrażeń smakowych mięsza się z wrażeniami mięśniowemi, dotykowemi i cieplikowemi — co jest w ogóle cechą niższych zmysłów, podczas gdy wrażenia wyższych zmysłów stanowczo odróżniają się od siebie i od wszystkich innych. Drugą zaś cechą niższych zmysłów, jest większa ich podmiotowość, tj. zmienność indywidualna i łączność z uczuciami przyjemności lub przykrości. Słuchanie czyjejś rozmowy albo patrzenie na ulicę może być dla nas całkiem obojętnem, tymczasem czucie jakiegoś smaku lub zapachu jest prawie zawsze wyraźnie *przyjemnem* lub *przykrem*. W ogóle smak słodki uważamy za przyjemny, gorzki za przykry; a kwaśny i słony rozmaicie. Tak np. umiarkowanie słone lub kwaśne przyprawy do mięsa uważają się za przyjemne. Równie przyjemnym bywa kwas połączony ze słodyczą np. w limonadzie. Natomiast toż samo wrażenie słodyczy przyjemne w cukierkach, nie jest miłem w wodzie używanej do picia lub przy mięsie. Widzimy tu najwyraźniej względność naszych przyjemności i przykrości zmysłowych. Zresztą wiadomo, że o gustach nie ma co mówić, i że zmienają się one nietylko u różnych osób, ale nawet u jednej i tej samej osoby. U młodych panien np. pospolite są nagle powstające upodobania do kwasów, do mustardy i innych najroznaitszych silnych wrażeń smakowych — toż samo u mężatek w pewnych chwilach. Dla niemowlęcia, słodki smak matczynego mleka, w pierwszym roku życia stanowi jedyną prawie przyjemność, która przecież później znika stanowczo. Z połączenia tych czterech zasadniczych smaków: słodkiego, gorzkiego, kwaśnego i słonego, powstają inne; lecz jeżeli jedne mięszaniny jak np. słodkie z kwaśnem mogą być przyjemne, to inne natomiast np. słone ze słodkiem nigdy nie dają przyjemnego połączenia. W znacznej jednak części przyjemność lub przykrość wrażeń zależy od ich następstwa, to znaczy, od ich trwania przez pewien czas na języku. Tak np. jeśli zjemy coś gorzkiego lub słonego, to następnie woda czysta wyda nam się słodkawą. Na odwrót wiadomo, że po zjedzeniu cukierków, herbata osłodzona wydaje się jakby była bez cukru.

Ażeby usprawiedliwić wybitniejsze rożnice smaków przypuszczano, tak samo jak i odnośnie do wrażeń dotykowych, cieplikowych i bolesnych, że istnieją odrębne nitki nerwowe dla smaków słodkich, gorzkich, i kwaśnych — lecz oba te przypuszczenia zarówno, nie mają dostatecznej podstawy. Wrażenia smakowe zbyt często zlewają się z innemi, a mianowicie oprócz już wymienionych z wrażeniami *zapachu*, ażebyśmy mogli przypuszczać istotną różnorodność nitek smakowych. Zresztą wszystkie nasze nerwy czuciowe są do tego stopnia jednorodnej budowy, że nawet niektórzy przypuszczają (np. Bernstein), iż mogłyby się wzajemnie zastępować, i gdyby nie różnorodne narzędzia zmysłów, tj. gdyby nie różne rodzaje gruczołów, ciałek i błonek przejmujące bodźce zewnętrzne — to niemielibyśmy wcale tej różnorodności wrażeń jakich doświadczamy. Nie posuwając się tak daleko, ze względu, że jednorodność nerwów może być tylko pozorną, na słabości naszych mikroskopów opartą, powiemy, że prawdopodobnie różnorodność wrażeń zależy nie tyle od specjalności nerwu, ile raczej od organów kończących te nerwy i od warunków chwilowych. Nadto ważniejszym już jest udział mózgu aniżeli udział nerwów — te ostatnie są tylko pośrednikami przenoszącemi pobudzenia zmienione przez organ końcowy i ostatecznie oceniana w mózgu.

10. O ile wrażenia smaku zależą od udziału płynów, o tyle zapach możliwym jest tylko przy udziale gazów i to nietylko w tem znaczeniu, że ciała wtedy tylko zapach wydają gdy mają własność ulatniania się, ale także i o tyle, że dla odczucia jakiegokolwiek zapachu, niezbędnym jest przepływ powietrza. Wstrzymując oddychanie, wstrzymujemy zarazem wszelkie wrażenie zapachu, chociażby gaz woniejący dochodził do błony śluzowej nosa. Gdy jednak powietrze jest wciągane wówczas i zapach staje się wyraźnym a to przy pomocy następujących specjalnych organów:

W błonie sluzowej nosa znajdują się niewidzialne dla gołego oka komórki, które nazywamy węchowemi. Mają one kształt pałeczek i kończą się delikatnemi nitkami, które przenoszą podrażnienie na nerw węchowy. I tu więc mamy specjalne organa końcowe, które przejmują podrażnienie i przekazują je nitkom nerwowym. W tym względzie działanie ich przy pomocy prądu powietrza jest nadzwyczaj subtelne. Żaden innny zmysł nie oceni tak drobnej ilości materji jzk węch. A wiadomo nadto, że u niektórych zwierząt jest on nierównie jeszcze wraźliwszem aniżeli u człowieka. Psy używane do polowania rozpoznają zwierzynę węchem po śladzie jej stopy na liściach, zupełnie dla oka niewidzialnym. I dla nich jednak niezbędnym jest udział powietrza, które cząstki lotne unosi i rozsyła z odległości. Wszelkie wstrzymanie przypływu świeżego powietrza przez nos osłabia działalność zmysłu, i na tem właśnie polega oswojenie się z przykremi zapachami podczas dłuższego pobytu np. w pracowni anatomicznej lub w laboratorium chemicznem. Siłę woni panującej czujemy dopiero po wejściu do sali ze swieżego powietrza. Jest to taż sama względność wrażeń o której wspomniałem już przy ocenianiu ciepła.

Wrażenia węchowe są równie podmiotowej natury jak smakowe. Wszystkie są albo przyjemne albo przykre, wszystkie mięszają się ze sobą zarówno jak i z wrażeniami smakowemi i z tego powodu w katarze jak wiadomo tracąc smak tracimy i węch. Pod względem jakości podział wrażeń węchowych jest jeszcze trudniejszym, aniżeli smakowych, tu już bowiem nie mamy nawet innych nazw do oznaczenia wrażenia, nad nazwę przedmiotu od którego pochodzi. Mówimy o zapachu róży, fijołka, piwonji, chrzanu, piżma i t. d. nie mogąc wskazać takich działów głównych, pod któreby można wszystkie inne podciągnąć. Rozróżniamy tylko zapachy przyjemne i przykre, mocne i słabe, co oczywiście natury ich wcale

nie określa. Wiadomo zresztą, że i pod względem siły i pod względem podobania się zapachów istnieją znaczne różnice indywidualne. Są np. osoby które żadnych perfum znosić nie mogą. W ogóle jednak rzeczy biorąc zgadzamy się wszyscy na to, że zapach róży lub wody kolońskiej jest przyjemnym, zapach zaś siarkowodoru lub amoniaku nieprzyjemnym. Ten ostatni dla siły i przenikliwości swej woni używany jest jak wiadomo do cucenia osób zemdlonych.

Wyobrażenia zapachów, ze względu na przyjemność jakiej nam dostarczają, weszły w skład niezliczonej liczby utworów poetyckich, i nie ma chyba poety, któryby róży, fijołkom, świeżej woni łąk i lasów jakiegoś ustępu nie poświęcił. Natomiast wyobrażenia nie miłe pachnących roślin weszły w skład mnóstwa guseł i przesądów, tym to bowiem roślinom lud przypisuje moc czarodziejską szkodliwą lub uzdrawiającą. I nie ma w tem nic dziwnego; istotnie bowiem prawie wszystkie niemiłe zapachy są zarazem szkodliwe i jeżeli nie dla nas ludzi zepsutych sztucznemi warunkami życia, to przynajmniej dla zwierząt powodujących się głównie instynktem, są niewątpliwą skazówką ostrzegającą. Wszelkie też niemile pachnące rośliny stanowczo są wykreślone z naszych estetycznych buduarów, a natomiast sztuka kosmetykarzy wysila się na to, ażeby nam życie różnemi zapachami uprzyjemnić. Pod względem naukowym zapach ma także pewne znaczenie, służy bowiem do odróżnienia pewnych roślin a więcej do odróżnienia różnych gazów i ciał lotnych.

Wszystkie dotychczas rozbierane wrażenia polegały na bezpośredniem działaniu wywołujących je ciał i były odnoszone albo do wnętrza ciała, albo do jego powierzchni. Zmysł węchu, którego wrażenia odnosimy nieraz dalej niż do powierzchni ciała, stanowi już przejście do tych dwu zmysłów najwyższych, których wrażenia już stanowczo z dalszego otoczenia pochodzą i przy których wywołujące je ciało bezpośrednio na organa zmysłów nie działają.

(C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Tu i owdzie znajdujemy na słońcu grzejącą się Holoturiae, a są to istoty cienko-błoniaste jak np. Tynopta, lub grubo-skórzaste, kurczliwe jak worki zdolne rozciągać się we wszystkich kierunkach. Otwór gębowy ich jest otoczony ruchomemi czółkami. Tynopty są nader delikatne, łatwo łamliwe, wyciągające się do sążnia długości, a skóra ich obsypana jest mnóstwem haczykowatych kolców, które przy dotknięciu ręką do niej przylegają. Właściwe Holoturiae są bez haczyków, ale wiele gatunków mają nóżki ssawkami zaopatrzone, czasem brodawki, inne mają kolce lub guziki wapienne. Kształt ich jest workowato-walcowaty, ale mniej wydłużony. Skóra jest bardzo gruba do $^{3}/_{4}$ cala, lecz bardzo giętka, rozpływająca się. Holoturia położona na miejscu suchem, płaszczy się, rozlewa i przybiera postać dotykającego ją przedmiotu. Niektóre gatunki, dotknięte czemkolwiek poczynają się wić, kurczyć i wydłużać, następnie wyrzucają z siebie wnętrzności swoje, a potem, dłużej trzymane w ręku, na kawałki się rozpadają. Takie gatunki trudno bardzo jest zachować w całości, a prawie niepodobna zakonserwować ich z wnętrznościami. Chińczycy jedzą Holoturiae i drogo za nie płacą. Jako artykuł handlowy nazywają się one Bialamar albo Trepang. Wiele okrętów handlowych tylko połowem tychże się zajmuje.

Dalej spostrzegamy na wpół w piasku zagrzebanego jeża morskiego, z gatunku Spasangoidea i Lassiduloidea. Spłaszczone skorupy tych jeżów pokryte są cienkiemi kolcami, do których piasek i inne ciała przylegają, tak że owe jeże łatwo wziąć za kamienie, lub odłamy korali lub muszli. Inne jeszcze familje jeżów żyją na ryfie i wświdrowywują się w kamienie, lub żyją pod niemi. Kolce niektórych z nich są tak na końcach cienkie jak włoski, przebijają one skórę ręki, w niej łamią się i pozostając, sprawiają nieznośne bole. Krajowcy obawiają się ich bardzo i unikają, lecz pomimo tego, niektóre z nich jedzą. Barwy ich nie są świetne, ciemne; inne są białe. Zwyczajny jeż Echinus ma kolce prążkowane; są rodzaje czarne, brunatne, zielonawe itd.

Gwiazdy morskie są tu także licznie reprezentowane.

Są one najrozmaitszych kolorów wielkości i form, od pięcio do dwudziesto ramiennych. Gdzie niegdzie leży nieruchoma muszla, bez swego mieszkańca, ślimak, który ją zbudował, stał się zdobyczą innych tu żyjących istot. W domu wapiennym mięczaka żyje teraz rak, gatunek Pagurusa, ten spostrzegłszy zbliżających się, udaje nagle martwego, lecz po niejakim czasie wysuwa z muszli parę wąsów, potem na długich łapkach osadzone oczy, także i czółki, węszy i miarkuje czy jeszcze grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli zachowanie się badającego napełnia go otuchą, wysuwa nogi z nożycami, a nawet tułów, ale brzuch i tak zwaną szyjkę zachowawczo ukrywa w domu. W razie zdrady, znów leży nieżywy wciśnięty w skorupę, która jednak kryje go tylko po głowę, wąsy i końce nożyc sterczą na zewnątrz, skorupa ślimaka przewraca się na wznak, jak gdyby nigdy nic w niej nie było. Jest to najmądrzejszy rak jakiegom obserwował. Gatunki należące do rodziny Squillina są bardzo śmiałe i zacięcie się bronią w razie napaści innej istoty lub raka. Niektóre z nich do 12 cali dochodzą, są to prawdziwi zbójcy między rakami, doskonali pływacze, trudni do złowienia. W miejsce nożyc mają daleko straszniejsze, na kształt scyzoryka się zamykające, jak igły ostre piły, czoło i ogon również silnemi kolcami uzbrojone. Ranią one dotkliwie. Na tych samych piaskach znajdujemy oprócz małych rybek żyjących między koralami i porostami liczne gatunki raków należące przeważnie do rodziny Decapodów. Są one różnej wielkości i często pięknie zabarwione.

Po tych spostrzeżeniach płyniemy dalej i nakoniec dosięgamy ryfu barjerowego. Tu znajdujemy prawie pod każdym kamieniem konchy, raki i jeże. Otwory szczeliny i jamy są siedzibą ośmionoga. Jest to polip przezroczysty, prawie niewidzialny, przód jego ciała opatrzony jest konczynami jakby z głowy wychodzącemi, a uzbrojonemi w ssawki. Z powodu swej niewidzialnej postaci jest on niebezpiecznym wrogiem innych istot, które łatwo stają się jego zdobyczą, a w fantastycznej wyobraźni krajowców jest on bajecznym, papuzim dziobem uzbrojony, głowonogiem zjadającym ludzi i okręta. Dotknięcie jego ssawek jest bardzo niemiłem i sprawia wrażenie i skutek suchych baniek, oderwanie ręki jest niepodobnem bez pewnego bólu. Przestraszony lub zaniepokojony, również jak Sepia, wydziela płyn czerniący wodę, który go ukrywa i ratować się dozwala. Nie bez tego jednak, by mu i to nawet często, ta lub owa ryba nie ugryzła kawałek niebezpiecznego ramienia.

Spotykamy tu wiele ryb, które zaskoczone nagłym odpływem morza, ukryte w dziurach i pod kamieniami czekają przypływu. Oko nasze je wytrapia choć ledwie tylko kawałek pletwy świeci z piasku i korali. Szczypcami wydobywa się ofiarę z takiej kryjówki żywcem, a która zbyt niespokojna, uspokojoną bywa na wieki pchnięciem kordelasa.

Często podnosząc ciężki głaz koralu wypłasza się morskiego węgorza, w kilku gatunkach tu reprezentowanego. Bywa on czasem do 2 łokci długi, gruby jak ramię. Naturalnie węgorz umyka, a więc gonitwa. Zmyka w skokach z kamienia na kamień, wszędzie woda za płytka, instyktowo dąży w stronę morza, ale rzuconą dzidą przybija się go do dna, kurczy się, wypręża i z ogromną siłą pędzi dalej wlokąc za sobą dzidę, która uzbrojona zasiekanemi hakami nie może się wysunąć. W wściekłości i bólu gryzie dzidę, otaczające przedmioty, kamienie i własne kąsa ciało. Biada ręce, któraby pochwycić go skusiła się w takiej chwili, jeżeli nie złamie ramienia uderzeniem gwałtownem w swych konwulsyjnych kurczach i wiciu się, to co najmniej ukąsi bardzo boleśnie, nie ręka więc, ale dzida posyła go do kosza, aby potem chłypnął spirytusu.

Niebezpieczeństwa nie ma zbyt wielkiego przy tych wędrówkach po ryfie. Najniedogodniejszem jest słońce palące cię na skwarek, a przed którem nie ma się gdzie schronić.

Dalej nieświadomy zbieracz płaci bardzo wiele „frycówek.“ Nieprzywykłego do widoku walącego się na ryf Oceanu, ogarnia często strach wielki, stoi nie pewny na nogach. Ryk bałwanu, wahanie się ryfu, do piersi zrazu prawie sięgające bałwany, kradną mu pewność i przekonanie o swem bezpieczeństwie, kolana mu się zginają, wał wody, który on miał swem ciałem naprzód wyprężonem, silnem jakby głaz koralowy, przeciąć, nie znajduje oporu, porywa go, powala, podnosi i rzuca kilka sążni dalej, przyczem o guza itp. przypadek nie trudno.

Zwykle po kilku próbach i mniej więcej podobnych wypadkach, owa trudność utrzymania się na nogach ustaje. Prócz tego niedoświadczony zbieracz narażony jest na wiele bolu i śmiech krajowców, gdy chciwa zdobyczy ręka, cofa się nagle naszpilkowana jakby ćwiekami, kolcami jeża morskiego, których końce bardzo cieniutkie zostają w ranach, sprawiając kilka dni mocne bole, a często poważne zapalenie. Że niezgrabny palec dostanie się czasem w nożyce raka, jest to tylko wesołym przypadkiem. Więcej groźniejszem jest ukąszenie przez niektóre ryby i węże morskie, a także ukłucie kolcami znajdującemi się w pletwach niektórych ryb.

Rozumie się, że na samym skrawku ryfu tylko pewny siebie będzie się włóczył, postępuje się tu bardzo zwolna i cierpliwie, tylko przy cofającej się fali, każdy niepewny krok jest tu zgubnym. Jeżeli nie złamie się nogi, to przynajmniej zapadając się i łamiąc gałązki za słabe by utrzymać ciało człowieka, zagłębia się czasem po za kolano. Wyjęta z odartą skórą, pokryta

ranami poszarpanemi, wypełnionemi odłamkami korali i piaskiem, daje mu czas do kilku miesięcznych medytacji łóżkowych, nad potrzebą i pożytkiem otwierania oczów na ryfie, lecz za to i rozrywki tu pełno, za każdym razem jest tu coś nowego, jest ciągła nie praca, ale zabawa, spacer zawsze się opłacający i pożyteczny.

Wyprawy na ryf odbywam zwykle na pełnię i nów, gdy ma miejsce wielki przypływ i odpływ. Czasami w nocy przy świetle pochodni z liści kokosu, wychodzę jak jaki drapieżnik na łowy.

Niekiedy prócz celów naukowych mam także cele kuchenne, których ofiarami są raki, ryby i żółwie, a czasem mięczaki. Dzida jak w ogóle do każdego takiego polowania jest tu niezbędną. Rak kolczysty, długo wąsaty, ale bez nożycowy Palinurus, dorasta do łokcia i stanowi pyszny choć może trochę przyciężki specjał. Żer z jakim nigdy nie mogę stanąć w zgodzie — to żółwie, które jednak hoduję dla przyjemności, również nie podobna mi jeść surowo, jak to czynią krajowcy, kilku gatunków ryb i ślimaków.

Co do żółwi, są one tutaj dość liczne, krajowcy łowią je w sieci, ja strzelam kulą, lub łowię dzidą. Ostatnie polowanie jest zajmującem bardzo: oto spostrzegamy żółwia spokojnie, bezwładnie dającego unosić się wodzie. Czółno nasze się zbliża na kroków 10 przynajmniej i ciężka dzida z silnym żelazem wbija się w tarczę i ciało żółwia, który natychmiast daje nura, ale ubiega go zręczny łowiec, bo kiedy żółw jest w głębi, tamten chwyta koniec dzidy i żółw przyciągnięty trzepoce z trzaskiem łapami i głową, ale już w łodzi.

Prócz tych istot morskich, o których pobieżnie wspomniałem, są tu jeszcze jaszczurki morskie, ale dotąd nie zdarzyło mi się żadnej napotkać. Najważniejsze i największe, bo do 15 stóp długie są Gawiale. Jaszczurki te czczą krajowcy i strasznie się ich obawiają, są ich bogami i nazywają się tutaj „Ejusz.“ Są one jednak bardzo rzadkie. Od początku przybywszy tu, widziałem na frontach wszystkich prawie wielkich domów, rzeźbione w drzewie postacie krokodyli, uderzyło mnie to i starałem się dopytać, coby to oznaczać miało. Zapewniano mnie, że Gawial tu żyje, ale jest rzadko widzialnym, jest „Kalitem“ tj. bogiem, który ma przyjaciela i sługę w ptaku Halcyon albicilla, zwanym tu „Tanatik“ lubiącym żyć na skrajach wysepek, bo tam znajduje żer na ogołoconych z wody brzegach. On krzykiem swoim przyzywa Ejusza i daje mu znać, że tu lub owdzie jest zdobycz dla niego. Znalazł się zaraz dowcipniejszy krajowiec, który postanowił skorzystać z wiary swych ziomków i ogłosił się kapłanem Tanatika, mówiąc, że on rozumie jego mowę i za podarunki i ofiary miał obowiązek zabezpieczyć ludzi od zagłady.

Dzisiaj pełno wiadomości mnie dochodzi od krajowców łowiących ryby i żółwie na południu, że ta jaszczurka jest tam prawie codziennie widzianą, wyłazi na piaski i ślady jej są widoczne. Ponieważ będę także eksploatować południowo-zachodnią część grupy, być więc może, że znajdę jednego z tych gawialów na mieliznach tam się znajdujących. Bo że tu mogą się znajdować, uniesione prądem z wysp Filipińskich, nie ulega wątpliwości. (C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(Ciąg dalszy.)

III.

W dawnem moskiewskiem życiu uderza przedewszystkiem brak prawdziwej miłości. Tam związek męża z żoną nie jest miłością w tem znaczeniu jak my ją pojmujemy, a jedynie przyzwyczajeniem lub uczuciem pokory i poddania się ze strony żony, a względności tylko i protekcji ze strony męża. Ale bo i zkąd mogła przyjść miłość kiedy narzeczeni do wesela nie znali jedno drugiego, kiedy małżeństwo było zawarte nie w skutek wzajemnej sympatji, lecz na rozkaz rodziców, kiedy mąż był w położeniu nieograniczonego despoty, a żona występowała w roli niewolnicy, kiedy prawie zawsze dziewczynę w dziecinnym wieku wydawali za dojrzałego mężczyznę lub starca.

Dążność do jak najczęstszej zmiany żony, nieszczęśliwy wybór narzeczonej, brak miłości w małżeństwie wyrodziły w Moskwie łatwość rozrywania związków małżeńskich pomimo oporu kościoła i państwa. Mąż przedawał, dawał w zastaw, wypędzał z domu nielubioną żonę. Chociaż położenie takiej wypędzonej nie było do pozazdroszczenia, lecz do końca 15 wieku, takie żony mogły wstąpić znowu w związki małżeńskie, lub porzucić mężów tak samo jak ci żonę mogli wypędzić. Ale od chwili jak wpływ bizantynizmu stawał się mocniejszym, a małżeństwo stało się związkiem nierozelwalnym i mąż otrzymał nieograniczoną władzę, położenie żony, od której mąż chciał się wybawić, stawało się coraz gorszem. „Jeżeli mąż, powiada Olearjus, znienawidził żonę swoją i chciał się jej pozbyć, to podkupywał dwóch świadków, którzy obwiniali ją przed sędzią o niewierność, i kobietę, pierwej nim się domyśliła o co chodzi, ubierali w mnisze odzienie i zamykali do klasztoru, gdzie przepędzała resztki dni życia, a życie w klasztorze było toż samo co mogiła.“

Lecz nie od jednego męża cierpiała żona, ale od teścia swego, teściowej, krewnych dalszych i bliskich; ciężka praca osłabiała jej siły, despotyzm i ucisk pogrążały w sen niewolnicę, która tylko niańczyła dzieci, pracowała i jadła. Drogo zapłaciła Moskwa za to życie swych matek poczętych w niewoli, zrodzonych w niewoli, w niewoli i dla niewoli rodzących w ciągu tylu wieków, tyle miljonów ludzi!

Śmierć męża nie oswobodzała żony od jej zależnego położenia. W czasach przedchrześcijańskich wdowę palono z trupem jej męża, żeby razem z nim szła do raju i tam mu służyła. Bizantynizm zmienił ten zwyczaj na inny, a mianowicie, wdowę oddawali do klasztoru, gdzie powinna była modlić się nieustannie za duszę męża, żeby mu było dobrze na tamtym świecie. Następnie i to się zmieniło, ale bezdzietna wdowa była zawsze bardzo w smutnem położeniu, bo albo wracała do domu rodziców, albo wstępowała do klasztoru, gdyż powtórne małżeństwo uważano za wielki grzech. Wdowa mająca dzieci, po śmieci męża stawała się panią i głową domu przynajmniej do pełnoletności dzieci swoich lub do powtórnego zamężcia. Matka cara była aż do śmierci swojej opiekunką syna. Oswobodziwszy się z niewoli, wdowa często stawała się takąż despotką jak nieboszczyk pan jej: męczyła dzieci, wydawała córki za mąż przeciw ich woli itd. Lecz jeżeli wdowa miała cichy i spokojny charakter, to stawała się igraszką dzieci swoich. Zdarzało się, że te dziatki otrzymawszy spadek po ojcu wypędzały matkę z domu, tak że musiała żyć z jałmużny. Przetrwawszy więc despotyzm rodziców i męża, ginęła z despotyzmu własnych swych dzieci!...

IV.

W niewykształconem i barbarzyńskiem społeczeństwie moskiewskiem, opartem na niewoli i na sile, występki i zbrodnie niezwykle częste i okropne, kryły się pod maską faryzeuszowską obrządkowej cnoty. To faryzeuszowstwo przenikało wszystkie stosunki społeczne. Tak naprzykład ustawa klasztorna mówi, że nie wolno mieć wódki w klasztorach, a dalej dodaje „francuskie wina nie zabraniają się, bo nigdzie nie napisano, żeby nie pić tego wina; pijcie więc go na chwałę pana Boga“. Drugi przykład: popi noszą skufiję, rodzaj jarmułki oznaczającej ich stan duchowny; w bójce więc z popem, każdy starał się zdjąć mu skufiję, żeby stanu duchownego nie obrazić, za co kara była dość surowa, a następnie bił go tyle ile mu się podobało; tym sposobem zachowano szacunek dla stanu i popa dobrze obito.

Tem faryzeuszowstwem były przesiąknięte i rodzinne stosunki. Ojciec trzymał cały dom w strachu posłuszeństwa; lecz pokorna i posłuszna rodzina nie cierpiała go i oszukiwała na każdym kroku. Intrygi, bójki, nieporozumienia, nieprzyjaźń, kłótnie i donosy charakteryzowały życie domowe moskiewskiej rodziny i charakteryzują ją do obecnej chwili. „Tu, w tem „Ciemnem państwie“, powiada Dobrolubów, wszyscy są w wojnie: żona z mężem za jego samowolę, mąż z żoną za nieposłuszeństwo i upor we wszystkiem, rodzice z dziećmi, za to że dzieci chcą żyć według swojej woli, dzieci z rodzicami, za to że im nie pozwalają żyć według ich życzeń. Zewnętrzna pokora, smutek, poddanie się woli starszych, łączą się w tem „Ciemnem państwie“ z przebiegłością niewolnika, oszukaństwem i wiarołomstwem. Tu nikt nie ufa drugiemu; co chwilę możecie oczekiwać, że przyjaciel pochwali się jak zgrabnie was okradł, lub oszukał; teść oszuka zięcia na wianie; narzeczony oszuka i skrzywdzi swatkę; córka oszuka ojca i matkę, a żona męża. Nic nie ma świętego, nic czystego, nic uczciwego w „Ciemnem państwie“. Panująca wszędzie samowola, dzika, bezduszna, bezprawna wypędziła poczucie uczciwości i prawa... Nie może go tam być wreszcie, gdzie wala się w błocie, podeptana godność ludzka, swoboda osobista, wiara w miłość i w uczciwą pracą“.

W chaosie intryg, kłótni i wzajemnego dręczenia się w rodzinie najwybitniejszą zawsze była walka żony z mężem. Jest przysłowie u Moskali: „uczciwy mąż tylko jednę żonę oszukuje“, a drugie: „nawet głupia żona nigdy prawdy nie powie mężowi“. W samej rzeczy, większa część małżeństw jak w dawnej Moskwie tak i w teraźniejszem „Ciemnem państwie“ nie miała nigdy charakteru dwóch kochających się istot, a były podobnemi do związku pana z niewolnicą, która go boi się i nienawidzi. Przemocą wydana za nielubionego człowieka, cierpiąca nieustannie z powodu jego despotyzmu i samowoli, rozdrażniona, wiecznie niezadowolona kobieta stawała się chorobliwie swarliwą i uporną, przeczącą mężowi w każdej drobnostce i na każdym kroku. Tu ciągła i

nieustanna wojna domowa, niemożność rozerwania węzła małżeńskiego, nienawiść wzajemna, prowadziły do występku. Małżonkowie, żeby zgubić siebie wzajemnie, uciekali się do kwitnącej w całej historji moskiewskiej cnoty — do donosicielstwa, oskarżając jedno drugie o zdradę stanu, herezję lub czarodziejstwo. Rząd bardzo srogo karał za te zbrodnie i podobne skargi, mimo braku dowodów, prawie zawsze dopinały celu. Nawet Moskale, przywykli do tej cnoty narodowej, nie mogą nadziwić się wielkiej ilości denuncjacyj, jakie czyniono dawniej i do dziś się robią: denuncjacje od żon na mężów, ojców na dzieci, dzieci na rodziców i sług na panów. Przy Borysie Godunowie żona jednego bojara, nienawidząc męża, który ją męczył, doniosła, że mąż jej umie leczyć od podagry, na którą car był chory. Bojar przysięgał i klął się, że leczyć nie umie; wzięto go więc na tortury i chciano ukarać śmiercią, jeżeli nie wyleczy cara. W rozpaczy bojar nabrał różnych traw, jakie mu wpadły pod rękę, i zrobił wannę dla cara, przypadek chciał, że to mu ulgę przyniosło. Bojara jeszcze raz knutem osiekli za to, że znając środek, nie chciał go powiedzieć i surowo zabroniono, żeby się nie ośmielił mścić na swojej żonie. „Przy nas, powiada Olearius, żona wielkoksiążęcego koniuszego doniosła, że mąż jej miał zamiar otruć konie pana swego, a jeżeli uda się, to i pana samego. W skutek tego doniesienia donosicielkę oddano na tortury, a ponieważ ona przeniosła cierpienia wszystkie i nie odwołała oskarżenia, męża jako zbrodniarza w kajdanach odesłano na Sybir; ona zaś została w Moskwie, otrzymując od rządu połowę mężowskiej płacy jako zapomogę“.

Oprócz fałszywego zaskarżania w rękach moskiewskich był jeszcze jeden straszny oręż — trucizna. Często mężowie truli i tajemnie zabijali żony swoje, lecz jeszcze częściej kobieta udawała się do tego środka strasznego w rękach niewolnika. Mężobójstwo w Moskwie było niezmiernie częstą zbrodnią, chociaż kara za nią była okrutna. Występną zakopywali żywą w ziemię pozostawiając tylko głowę na zewnątrz i tak trzymali do śmierci. Nie dawano jej ani jeść, ani pić; stróżowie dozierali dziennie i w nocy, żeby kto z litości nie podał co nieszczęsnej do zjedzenia lub wypicia. Przechodzącym pozwolonem było rzucać pieniądze, lecz pieniądze te przeznaczały się na trumnę osądzonej i na świece. Męczarnia nieszczęsnej trwała nieraz cały tydzień.

Taką karę ponosiła tylko żona za mężobójstwo; jeżeli zaś mąż zabił żonę, to był albo uniewinniony, lub podlegał bardzo łagodnej karze. Pomimo to mężobójstwo bardzo jest rozpowszechnione w Moskwie. Według statystycznych danych widać, że na 100 mężczyzn zesłanych na Sybir za występki jest tylko 16 kobiet, ale za to na 100 mężczyzn zesłanych za zabójstwo żony, jest 162 kobiet ukaranych za zabójstwo męża. Niektóre z nich nawet kilku mężów struły lub podusiły.

Lecz nie każda natura zdolną jest do zabójstwa, do zbrodni. Kobiety nieraz uciekały od mężów, chowały się u bliskich krewnych lub u obcych, a odkryte zabijały się, topiły lub truły. Inne zaś nie mając odwagi na zbrodnię, mściły się wyuzdaną rozpustą. W Moskwie nie było nauk i sztuk pięknych; kobiety były usunięte z towarzystwa i w nich nie rozwijano uczucia przyzwoitości, grzeczności i romantycznej miłości, które panowały w zachodniej Europie. Dla tego też w Moskwie nieznanemi były przyjemności rycerskich stosunków mężczyzny do kobiety. Cel życia Moskala ograniczał się na jedzeniu, piciu i brudnej rozpuście. Pijaństwo w Moskwie było tak rozpowszechnione, że całe państwo można było porównać do ogromnej karczmy. Kobiety piły wódkę tak jak mężczyźni, znajdując w niej przyjemność i zapomnienie swego nieznośnego stanu. „Rzadko można przejść mimo karczmy, powiada Zabielin, nie zobaczywszy wybiegających z tamtąd pijaków nagich zupełnie lub w jednej koszuli; niektórzy nie są w stanie iść do domu i walają się w śniegu lub w błocie, innych układają w saniach lub na wozy i odwożą do domu. Takie przypadki zdarzają się nie tylko między mężczyznami, lecz i między kobietami, i nietylko w prostym ludzie lecz także między bogatemi klasami społeczności“. Olearjus opisuje bal, na którym się znajdował: „Żony piły wódkę razem z mężami; gdy mężowie popadali na ziemię, żony usiadły na nich i ciągnęły dalej dopóki się także nie zwaliły. Nawet caryce i ich córki lubiły popić. Gdy z jedną z carskich córek chciał się ożenić w 17 wieku jakiś cudzoziemski książę, między zaletami dziewczyny przedstawili mu, że upiła się raz tylko jeden!...“ Pijaństwo między kobietami jest bardzo rozpowszechnione w Moskwie; w niektórych miejscach piją one nie mniej jak mężczyźni; Elżbieta córka Piotra Wielkiego co wieczór upijała się do zupełnej utraty zmysłów. W dawnej Moskwie pijaństwo było rozwinięte jeszcze na większą skalę.

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy).

Już starodawny piewca Hezyod mawiał, że miłość to Bóg najpotężniejszy i najdawniejszy, co świat złączył w całość dzisiejszą. Dawniej samotne i pokłócone żyły atomy, każdy dla siebie, w nienawiści i samolubstwie, i świata nie było, aż miłość między nie wstąpiła. I oto atom atomu, żywioł żywiołu pożądał. Każda cząstka świata z inną cząstką się złączyła, każda z proszku w istotę się przemieniła, aż z miłości atomów świat zielony stanął u dołu, a nieprzemijające słońce zajaśniało u góry. I dziś przez miłość tylko to co istnieje, istnieje. Z dniem, w którymby miłość atomów zgasła, rozleciałyby się ciała wszystkie, i stałyby się znów pierwotnym prochem. Prawdę tę przeczuł Hezyod, a już wyraźniej wypowiedział ją Empedokles.

I dzisiejsza przyrodnicza nauka zna tę miłość, tę tęsknotę atomu do atomu. Tylko nowe nazwiska wymyśliła dla niej, i przezwała ją raz ciężkością, a drugi raz adhezją i kohezją atomiczną. Miłość ciał kieruje ziemią w biegu w koło słońca, i ona nadaje kulistą formę kropli żywego srebra.

A to prawo miłośnej ciężkości nie tylko martwą rządzi naturą. Ono istnieje także w świecie duchów. Każda dusza ludzka pragnie posiąść inną duszę, a człowiek samotny w samolubstwie jest tak różny od człowieka spotęgowanego miłością, jak proszek pierwotny od słońca zapalonego miłością atomów.

Ale chęć zachowania własnej istoty jest potęgą równie wieczną jak miłość. Ztąd to miłość rada się rozpala tam, gdzie kochający czuje się wielką osobą i opiekunem. Ztąd wdzięcznemi nazywamy istoty minejsze i słabsze. A wdzięk ich wzmaga się w miarę ich doskonałości, bo nasza miłość własna raduje się tem, że się doskonalszą istotą opiekuje. Wdzięczniejszem jest dziecię od źwierzątka, a dziecię, które nam rozumowy ideał dziecięcia przypomni, będzie najwdzięczniejszem. Istota szlachetna wreszcie wyda nam się wdzięczniejszą od samolubnej.

Wyobraźnia wszystkich ludów chętnie stwarza postacie istot idealnych kształtem, i obdarzonych nadludzką mocą, a mimo to wiotkich, drobnych i księżycowych. Są to klasyczne nymfy, lub północne czarodziejki, istoty kapryśne, co jawią się w przelotnym wietrzyku, albo w księżycowym promyku i nikną. Takie istoty, niekonsekwentne jak sama ich natura, wszechmocne prawie a potrzebne pomocy, są poetycznymi przedstawicielami wdzięku.

I ich wdzięk prawie przypadł w udziele Erechtejonowi. Kolumny Partenonu udzielają boskiej opieki. Kolumny i fryzy Erechtejonu, choć zawsze jeszcze abstrakcyjne i doskonałe istoty, żądają niby opieki twojej. Tamte w hardej mocy i zupełnej piękności cieszyły cię i pochlebiały tobie przypuszczając cię pomiędzy siebie; te mniej abstrakcyjne, bo rozmaite proporcjami, bo raz bardziej, a drugi raz mniej wielkie, ale zawsze niby wieczne i idealnie piękne, prawie żądają opiekuńczej twej miłości, jakby jakie dzieci niebiańskie. Tam stoi groza, tu mniej piękny, ale milszy wdzięk ciebie woła. Styl koryncki zrodził się, jakeśmy już mówili, około roku 350 przed Chrystusem, i przez 700 lat panował samowładnie na wschodnich wybrzeżach Śródziemnego morza. Najpotężniej rozwielmożnił się za Cesarza Hadrjana (100 — 114 po Chrystusie) i wtedy stanęły na cały świat sławne budynki: Świątynia słońca w Baalbek, Olimpijon w Atenach, i tamże portyk Hadrjana. Z tych najpiękniejszym był wedle świadectwa współczesnych Olimpijon, z którego szczątków możemy domyśleć się całej piękności gmachów korynckich.

Budowa świątyni korynckiej usiłowała połączyć cechy stylu jońskiego i doryckiego. Olimpijon tedy powtarza układ doryckiego gmachu. I tu cela zewsząd portykiem otoczona. Ogromna cela miała 190 stóp długości, 95 stóp szerokości, a 60 stóp wysokości. Portyk liczył 350 stóp długości, a wraz z celą 175 stóp szerokości. U krótszych boków stanęły trzy rzędy mające po 10, a u dłóższych boków dwa rzędy po 21 kolumn. Układ i proporcje przypominały tedy Partenon, tylko rozmiary były tu większe, i kolumn było więcej. Prócz portyku, stanęło jeszcze tuż przy celi po 6 kolumn w dwu ganeczkach właściwej celi z jońska ustawionych.

W szczegółach zbliżono się wszędzie do stylu jońskiego. Kolumny aż 60 stóp wysokie, mają smukłe jońskie proporcje, jońskie gzymsy, jońskie podstawki, i są z rzadka z jońska ustawione. Fryz i lekkie przyczółki są także całkiem jońskie.

Styl koryncki tylko w głowicach jest oryginalnym; tu też wyraził myśl swą i istotę. Głowica, pierścionkiem do kolumny przymocowana, wyrosła z niej strojnym tłumem pięknie wycinanych, i z lekka tylko wygiętych liści akantu, włożonych w strojną a nieużyteczną wystawę. Tworzą one jakby wielce zdobne kosze, które bogatym gzymsikiem od fryzu oddzielono. W głowicy tej podstawa i wierzch są niczem, a wszystkiem bogate ozdoby środkowej części.

I cała koryncka świątynia jest jakby taką głownicą. Podmurowania, na którem doryckie i jońskie gmachy tak hardo się dźwigały, nie ma tu wcale. Kolumnada ogromne zajmuje miejsce a na niej spoczywa lekki fryz i nieznaczny przyczołek.

W Olimpijonie chciano dorycką grozę, z jońskim połączyć wdziękiem. Udało się to po części, ale nie w zupełności. Kolumn jest za wiele, tak że bogactwo w jednostajność popada, i trudno zrozumieć po co tyle podpór tam nagromadzono, gdzie tak małe na nich ciężą brzemię. Kolumny niezmiernie wysokie są tu tylko świetną ozdobą. Swoboda jońska, zbytnią zabita regularnością, a lotność usunięta przez to, że świątynia zbyt szeroką zakryła przestrzeń. Styl ten podobał się jednak, i dłużej trwał od każdego innego. W przestrzeniach olbrzymiego korynckiego portyku jest cienisto i swobodnie. Widz jest otoczony światem uroczystym lotnych, pysznych, bogatych, olbrzymich kolumn, a sufit zawisł tak daleko gdzieś u góry, że prawie go nie znać, a zewsząd rój głownic się świeci. Nigdzie nie tłumno, i nigdzie nie groźno. Wszędzie rozwarte perspektywy, wszędzie powietrza pełno, do koła świetnie i przestronno. A 148 kolumn zliczyć nie podobna, to też myślisz, że ich jest tysiąc!

Gmachy korynckie stoją dla kolumn, które są dziełem rzeźbiarskiej prawie sztuki, a nie kolumny dla gmachów. Widz rad podziwia władcę, co takie kolumny w las ustawił, i styl taki zwie się okazałym. Bogactwo dla wielu milszem od miłości ideału, i wdzięku niewiast i dzieci, a okazałość koryncka trwała dłużej od Dorycyzmu i Jonizmu. (C. d. n.)

CIEMNY GRAJEK.

Bóg na jasne mu źrenice
Rzucił wieczny kir ciemnoty;
Odumarli go rodzice,
W dziale przypadł los sieroty.
A więc nędza i tęsknota!
I noc długa — czarna — głucha...
Gdyby jedna gwiazdka złota
Nie krzepiła siły ducha!

To natchnienie!... Jako ptaszę
Bez mozołu i nauki,
Podsłuchawszy serca nasze
Odgadł tajnie dziwnej sztuki,
Którą wszystkie dźwięki splata
Tak radośnie, lub tak rzewnie,
Jakby całe serce świata
W martwem skrzypiec zamknął drewnie.

Młody jeszcze, bardzo młody,
Pustą ojców rzucił chatę;
Od gospody do gospody
Chodząc grywał za zapłatę;
A w swych skrzypkach, ludzie prawią,
Ukrył jakiś czar tajemny —
Bo się nigdy tak nie bawią
Jak gdy zagra — grajek ciemny.

Choć tak blade jego czoło,
Choć zamknięte oczy wiecznie,
Nikt nie zagra tak wesoło,
Tak ogniście a serdecznie!
Nikt nie porwie ludzkie dusze
Nieodpartym takim szałem,
Że w tanecznej zawierusze
Zda się wzlecą po nad ciałem!

Czy to zbiory, czy wesele,
Zanim struny smyczkiem trąci,
Taka cisza — jak w kościele...
Żaden szmer jej nie zamąci.

Każdy stoi jak zaklęty,
Topiąc oczy w czarownika
Skinął — i cud niepojęty!
Wszystko w koło już pomyka.

A na twarzy czarodzieja
Błyszczy wtenczas uśmiech jasny;
Jak pociecha, jak nadzieja
Zaczerpnięta z duszy własnej.
Bo w tej piersi jeszcze młodej,
Mimo srogich ran niedoli,
Tyle jeszcze jest pogody —
I pogody i swawoli!

Co młodzieńczą myśl przenika,
Musi ludziom to wyspiewać;
W rzekę wpada nurt strumyka
Bo i gdzież się ma podziewać?
W rzekę spływa bez rachuby,
Że się z falą zlewa chłodną;
I niepomny swojej zguby
W raz z nią płynie w dal pogodną.

Aż gdy groźny wichr powionie
Na spokojne wód odmęty,
I przeczyste nagle tonie
Z dna dobyte ściemnią męty —
Na błękitach gdy omglonych
Coraz jedna gwiazdka znika,
Można w szumie fal wzburzonych
Słyszeć cichy płacz strumyka.

Tak i w grajka spiewnej duszy
Smutnej myśli skrzydło czarne
Często dziwny dźwiek poruszy,
Jak łańcuchy więźnia karne,
Pod któremi schnie i blednie...
A te bolem gdy zajękną,
Brzmią tak długo, aż bezwiednie
Struny skrzypiec nim oddźwiękną.

Zapłakały... i znów czary!
Pierzchły — wrzawa i pustota,
Zatrzymane w tańcu pary...
To gra ciemny i sierota!
A żal pieśni jego lotny
Krwawą skargą w niebo leci...
Czemu w świecie tak samotny?
Czemu słońce mu nie świeci? —

Wkrótce zabrzmi nuta nowa.
Lecz nic darmo on nie strwonił.
Lud zrozumiał pieśń bez słowa
I współczucia łzę uronił.
Święty tryumf dla artysty!
Co wywołał takie dziwy,
Ten wesela gwar srebrzysty
I ten smutek litościwy!

1876. *Marja B.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ X.

One horse gulch. *)

Był czas kiedy ożywiony ruch panował w One horse gulch. Nawet pierwotny osadnik tej mieściny, który w westchnieniu wywołanem działaniem alkoholu nadał jej tę nieszczęśliwą nazwę, przyznałby się, że nie ma słuszności, gdyby nie padł ofiarą „mocnego odwaru," na długo przedtem nim Gulch rozkwitł. „Gdyby Jim trzymał się czystej wódki, to wyciągnąłby swoją cząstkę z szychtu, na którym kabina jego stała," powiedział jeden miejscowy krytyk. Ale Jim nie tak zrobił; ściągnąwszy około tysiąca dolarów ze swego gruntu, drapnął do San Francisco, gdzie przechodził stopniowo od szampana do koniaku, od koniaku do dżinu, od dżinu do piwa, aż dopóki świetnej swej karjery nie zakończył w miejscowym szpitalu.

Jak było to było, dość, że *One horse gulch* nie tylko przeżyło swego chrzestnego ojca, ale nawet dowiodło, że niepomyślny prognostyk przy chrzcie mu postawiony, jest wierutnem kłamstwem. Posiadało ono hotel, dom wstrzemięźliwości, bióro posłańców, restauracje, dwa piętrowe domy na głównej ulicy, grupę chat, skład świeżo wyrąbanego budulcu i place do budowy przygotowane. Młode pod względem lat, miało już ono swoje wspomnienia, pamiątki i starożytności. Pierwsza chata wzniesiona przez Jima White stała jeszcze; otwory wybite kulami rewolwerów widać było jeszcze w oknach restauracji Cachucha, gdzie niegdyś zaszła walna bójka między Bakonem Joe, Harrym Worth i Thompsonem z Angel Reservation; z górnego piętra emporium Wattona jeszcze wysuwała się belka, na której przed rokiem pewien znakomity obywatel, wskutek niezbyt legalnie przeprowadzonego śledztwa co do prawa posiadanie rozmaitych znalezionych u niego mułów, powieszony został. Niedaleko od tego miejsca stała nie wielka i nie bardzo regularna czworokątna chata, w której odbywał się sławny *Caucus* *) do wyboru tych delegatów, którzy reprezentantem Kaliforni wybrali do rady narodowej sławnego obywatela Blanka.

Padał deszcz — nie trybem zwykłym, prostopadle i uczciwie jak na porządny deszcz przystoi; ale tak tylko, pozornie, w sposób tak nieokreślony, tak niedokładny jak gdyby lada chwila chciał przemienić się w mgłę lub parę. Padał deszcz a z ciał ludzi, którzy zasiedli dokoła wielkiego pieca w składzie towarów Briggsa para wychodziła. Ludzie owi u Briggsa należeli do gatunku tych, którzy wskutek zepsutego smaku, lub braku kapitałów unikają szynków i domów gry, a tylko ze spokojnem sumieniem przywłaszczają sobie suchary wspaniałomyślnego Briggsa z beczki pod ręką wygodnie umieszczonej, lub też fajki swe napełniają z otwartej puszki, w tem głębokiem przekonaniu, że obecność ich hojnie wynagrodzi niejaki ubytek w towarach.

Palili fajki wśród cichego spokoju, przerywanego tylko syczeniem ognia w piecu, gdy otworzyły się drzwi jednego z pokojów w tyle położonych i wszedł Gabryel Conroy.

— No, jakże się on ma, Gabie? zapytał jeden z obecnych.

— Ni tak ni owak... bandaż trzeba było znowu nałożyć nim doktor przyjdzie. Chciałbym powrócić za godzinę, ale muszę jeszcze zobaczyć co się tam dzieje ze Stevem, a to jest wycieczka o dwie mile od mego domu.

— Ale on powiedział, że nie pozwoli nikomu dotknąć się oprócz ciebie, zauważył Briggs.

— Tak to on mówi, odparł Gabryel, ale się namyśli. Steinson tak samo mówił, gdy mu się poczęło pogorszać; a przecież także ustąpił

*) *One horse* w Ameryce oznacza rzecz drobną, lichą, w rodzaju maszyny parowej o sile jednego konia. *One horse gulch* oznacza małą mieścinę w ciasnej dolinie (gulch) położoną, której zasoby i potrzeby siły jednego parowego konia nie przenoszą. P. T.

*) *Caucus* zgromadzenie wyborców z pomiędzy siebie wybierających kandydata do konwentu, który mianuje kandydatów na wakające urzędy i tych wyborcom przedstawia. P. T.

i niewidziałem go aż do tej chwili gdy już leżał jako nieboszczyk.

Słuszność wyrazom tym przyznał Briggs, chociaż widocznie był rozczarowany. Gabryel podszedł był ku drzwiom, gdy zatrzymał go głos odzywający się od pieca.

— Gabie! Wszakże znasz rodzinę wychodźców z chorem dzieckiem, obozującą za miastem? Otoż dziecku spodobało się umrzeć w nocy.

— Domyślałem się tego, odrzekł Gabryel z powagą.

— A kobieta wpadła w straszną rozpacz. Czy niemógłbyś przechodząc zajrzeć do nich.

— Dobrze, odrzekł Gabryel zamyślony.

— Sądziłem, że przyjemnie ci będzie dowiedzieć się o tem, a jej przyjemnie będzie gdy ci to powiem, dorzucił mówiący z miną człowieka, który tylko co z wielkiem osobistem poświęceniem i wysileniem spełnił wielki obowiązek.

— Ty zawsze pamiętasz o innych, zawołał z podziwem Briggs.

— Hm... tak, rzekł Johnson ze skromną obojętnością. Zawsze jestem tego zdania, że ludzie kalifornijscy powinni pamiętać o swoich bliźnich. Cokolwiek więcej zabiegów z mojej strony i rodzinie pójdzie lepiej gdy Gab się nią zajmie.

Wkrótce ten Gab, niepozorny zwolennik bezkorzystnej cnoty w One horse gulch, wyniósł się i znikł wśród deszczu i ciemności. Tak sumiennie spełniał on rozliczne swe obowiązki, iż było już około pierwszej godziny, gdy powrócił do swego ubogiego domku na pochyłości góry, a raczej do mizernej chaty z sosnowych balów, tak niepozornej i dzikiej z powierzchowności, iż zdawało się jakby powstała sama przez się, i tylko cokolwiek została ulepszona. Pnące się rośliny wyłaziły bez przeszkody aż na jej dach z kory, ptactwo gnieździło się w szczelinach ścian; wiewiórka gryzła orzechy na grzebieniu dachu bez obawy. — Odsunąwszy drewnianą zasuwkę przy drzwiach, wszedł Gabryel z właściwą sobie ostrożnością i w cichości, a potem zapaliwszy świecę przy tlejącym w kominie ogniu, zakłopotanym wzrokiem powiódł dokoła. Chata rozdzielona była na dwie połowy kawałkiem żaglowego płótna, rozciągniętego między dwiema ścianami z rozpórką we środku za drzwi służącą. Na sosnowym stole leżały rozmaite części ubrania widocznie należące do siedmio lub ośmioletniej dziewczyny — sukienka podarta i poplamiona, spodniczka z białej flaneli w wielu miejscach połatana materją ze starej koszuli i para pończoch, które wielokrotnie i tak pracowicie były cerowane, iż pierwotna ich barwa zewnętrznie przy powtarzających się usiłowaniach zakonserwowania znikła całkowicie. Z bolesnem uczuciem spojrzał Gabryel na te rzeczy, kolejno biorąc je do rąk. Potem zrzucił surdut i buty i wygodnie usiadłszy wziął pudełko z półki na ścianie i wyjął z niego igłę i nici. Czynność tę przerwał mu dziecięcy głos z poza zasłony płóciennej.

— Czy to ty, Gabie?

— Ja.

— Ja, Gabie, zmęczyłam się i położyłam.

— Widzę to, rzekł Gabryel sucho i wziął się do igły, która po krótkiej błędnej wędrówce w okolicach wielkiej dziury w spodnicy, z rozpaczą utknęła w jednym jej brzegu.

— Tak, Gabie! to wszystko tak okrutnie stare.

— Stare! powtórzył Gabryel, stare! wprawdzie cokolwiek zużyte i porozdzierane, ale pomimo to tak dobre jak przedtem było. Suknia jest teraz mocniejszą, dodał, podnosząc ją do światła i spoglądając na łaty z pewną artystyczną dumą, mocniejszą, moja Olly, aniżeli w pierwszym dniu, gdyś ją przywdziała.

— Ale jest już temu pięć lat, Gabie.

— Tak, to prawda, odrzekł Gabryel z niecierpliwością zwracając się ku ścianie, ale gdyby nawet...

— A ja urosłam.

— Urosłaś! zawołał Gabryel gniewnie, a czy nie porobiłem zakładek? a czy nie zostawiłem na trzy palce szeroko najlepszego płótna w staniku? Czy chcesz bym zbankrutował przez twoje suknie?

Olly śmiała się za ścianą. Ale ponieważ nie nastąpiła żadna odpowiedź ze strony nadąsanego pracownika, więc wkrótce kędzierzawa główka ukazała się w rozpórce drzwi przedstawiającej, a potem mała figlarna dziewczynka w białutkiem nocnem ubraniu pobiegła do Gabryela i usiłowała wsunąć mu się pod rękę.

— Eh! dajże mi pokój! rzekł Gabryel surowo i zarazem z wyrazem żalu w twarzy. Idź sobie! O co ci chodzi? Ja tu do śmierci zapracowuję się jak jaki niewolnik by cię przyodziać w aksamity i jedwabie, a ty potem włazisz w pierwszą napotkaną kałużę, albo latasz po najgęstszych zaroślach. Najmniejszej uwagi nie zwracasz na swe ubranie, Olly! Nie więcej jak dziesięć dni temu, pozszywałem sukienkę i połatałem ją jakby żelazem i miedzią — a teraz patrz!... Popatrz tylko, Olly! I mimowolnie prawie rozpostarł suknię przed jej oczyma.

Olly opuściła główkę na pierś bratu, a potem od tego punktu poczynając zaczęła kręcić nią jak gdyby chciała wświdrować się w jego wnętrze.

— O! ty się nie gniewasz, Gabie! zawołała, przeskakując z jednego jego kolana na drugie, nie usuwając główki z raz obranego stanowiska. Nie gniewasz się?

Gabryel uznał, że nie warto odpowiadać na to, i z wytrwałem milczeniem w dalszym ciągu łatał sukienkę.

— Kogoż tam widziałeś w miasteczku? zapytała Olly wcale tem nie zmięszana.

— Nikogo, odpowiedział krótko Gabryel.

— Oho! a pachniesz cynamonem i miętą! odrzekła kiwając główką; byłeś u Briggsa i u nowej rodziny w Gulch.

Byłem, rzekł Gabryel; nogi Meksykanina poprawiają się, ale dziecko umarło. Przypomnij no mi jutro, bym poszukał czegoś między rzeczami matki naszej dla biednej kobiety.

— Gabie! a wiesz ty co pani Markle mówi o tobie? zawołała Olly szybko podnosząc główkę.

— Nie, odparł Gabryel z udaną obojętnością; gdy chciał udawać obojętność, zawsze mu się nie udawało.

— Mówi ona, ciągnęła Olly dalej, że ty sam więcej potrzebujesz dopilnowania, aniżeli wszyscy ci chorzy. Mówi ona, że ty poświęcasz się dla innych. Mówi, że powinieneś być pod opieką kobiety.

Gabryel przerwał robotę, odłożył sukienkę i biorąc oburącz kędzierzawą główkę Olly, a potem jedną ręką głaszcząc jej podbródek a drugą tę główkę, obrócił jej twarzyczkę ku sobie, i powiedział z powagą.

— Olly! gdym cię wyrwał ze śniegu i głodowej śmierci; gdym cię przez całe mile niósł na moich barkach do doliny; gdyśmy tam dwa tygodnie biwakowali a ja rąbałem drzewo i wyszukiwałem tu i ówdzie żywności, w lesie i w rzece — wtedy, jak sądzę, było ci tak samo dobrze — nie chcę powiedzieć lepiej — aniżeli gdyby jaka kobieta o tobie pieczę miała. Gdyśmy się w końcu tu usadowili, a ja ten oto dom wybudowałem, sądzę, że kobieta lepiejby tego nie zrobiła. Gdyby zrobiła — w takim razie ja nie miałbym słuszności, a pani Markle miałaby ją.

Małej Olly nie spodobało się to. Ale rychło właściwy kobietom instynkt przyszedł jej na pomoc i rozpoczęła działanie zaczepne.

— Ja sądzę, rzekła, że pani Markle lubi cię.

Gabryel ze zdumieniem spojrzał na małą. Są pewne przedmioty, o których najmłodsza z córek Emy ma wrodzone pojęcie, a które najmądrzejszego z nas o dreszcz przyprawiają.

— Idź spać! rzekł tchórzowaty Gabryel.

Ale Olly nie chciało się spać, więc przeszła do innej materji.

— Meksykanin, powiedziała, którego ty pielęgnujesz, nie jest Meksykaninem; to Chilijczyk; pani Markle mówiła mi to.

— Niech i tak będzie, to mi wszystko jedno. Nazywam go Meksykaninem; powiedział niedbale Gabryel.

— Czy on jeszcze więcej wypytywał się ciebie o dawniejszych czasach? dodała.

— Tak jest; chiał widzieć wszystko co się działo w naszym głodowym obozie. Bardzo był zajęty biedną Gracją, zadawał mi mnóstwo pytań o niej, o tem co robiła i zdawało się, że tak samo brał do serca jak my to, że nic o niej nie wiadomo. Nigdy nie zdarzało mi się spotkać człowieka, któryby w takim stopniu zajmował się innymi ludźmi. A przytem musiałem opowiedzieć mu także wszystko o doktorze Devarges.

— I o Filipie?

— Nie, odrzekł krótko Gabryel.

— Wiesz co, Gabie, rzekła Olly, chciałabym byś ty nic nie mówił ludziom o tych czasach.

— Dlaczego? spytał zdziwiony Gabryel.

— Bo nie dobrze jest mówić o tem, drogi Gabryelu, ciągnęła dalej z lekkiem drzeniem ust, czasami zdaje mi się, że ludzie na to zapatrują się cokolwiek dziwnie. Mały chłopak, przybyły z rodziną emigrantów, nie chciał ze mną bawić się, a mała dziewczynka pani Markle, mówi żeśmy tam w śniegach straszliwe rzeczy robili. Chłopak mówi, że ja jestem *cannon-ball*. *)

— E! cóżbo znowu!

— Tak, *cannon-ball;* mówił on, że ty i ja...

— Ts! przerwał Gabryel z powagą, a rumieniec gniewu wystąpił mu na ogorzałą twarz, nauczę ja grubijanina! niech no go zobaczę!

— Ależ Gabryelu, rzekła Olly, nigdy!...

— Czy nie pójdziesz ty spać, Olly? czy chcesz może przeziębić się tu na zimnej podłodze, rozpowiadając brzydkie i całkiem głupie rzeczy? mruknął Gabryel stawiając ją na nogi. Dziewczyna pani Markle niema klepki w głowie, wodzi ciebie po wszystkich kałużach, gdzie niszczysz najpiękniejsze swoje suknie, a potem ja muszę siedziec do północy i łatać!...

Po tych słowach Olly znikła za płócienną zasłoną, a Gabryel wziął się znowu do igły i nici. Ale nitka rwała mu się i plątała i szył tak, jak gdyby chciał kłóć w myślach w urojone łydki

---

*) *Cannon-ball* jestto gra wyrazów, nie dająca się przepolszczyć. Hiszpańskie *Cannon* (wąwóz) i angielskie *cannon* (działo) mają jednakowe brzmienie. Dosłownie *canaon-ball* znaczy kula działowa; tu zaś w stosunku do Olly: kula znaleziona w wąwozie. P. T.

urojonego młodocianego wychodźca, aż dopóki znowu głos Olly nie przerwał milczenia.

— Gabryelu! zawołała dziewczyna.

— A co tam? zapytał, odkładając robotę.

— Jak myślisz?... czy Filip... zjadł... Gracyę?...

Gabryel zerwał się i znikł za ścianą. W tej samej chwili drzwi ostrożnie otworzyły się i do chaty wszedł mężczyzna. Nowoprzybyły szybko obejrzał słabo oświetloną przestrzeń, a potem stanął nieruchomo we drzwiach. Po za ścianą słychać było głosy. Nieznajomy przez chwilę był niezdecydowany, potem lekko kaszlnął. Natychmiast ukazał się Gabryel. Niespokojny wzrok, jakim zmierzył nieznajomego, przeistoczył się w prawdziwe zdumienie, gdy go rozpatrzył uważniej. Nowoprzybyły uśmiechnął się słabo lecz grzecznie, i kulejąc nieco poszedł ku krzesłu, na którem usiadł, przepraszając za tę śmiałość ruchem.

— Usiądę, powiedział łamanym angielskim językiem, a pan mi to przebaczysz... Zdziwiłeś się? Tak? Przed pięciu czy sześciu godzinami, opuściłeś mię chorego w łóżku... byłeś taki dobry. Tak! a?... A teraz widzisz mnie i dziwisz się... źle!...

Podniósł prawą swą rękę i palcem zakreślił jakby spiralną linję w powietrzu, chcąc tem dać do zrozumienia, że Gabryelowi w głowie się pomąciło, przyczem znowu uśmiechnął się; potem mówił dalej:

— Posłuchaj! Przed godziną otrzymałem wiadomość bardzo ważną. Koniecznie muszę odjechać dziś w nocy, zaraz do Marysville. Tak!... Wstałem, ubrałem się sam. A!... Bardzo się wysilałem... Ale lepiej mi jest... Powiedziałem do siebie: „Wiktorze! naprzód musisz złożyć wizytę poczciwemu *pike* *), który był dla ciebie tak dobry. Musisz uściskać rękę szlachetnego górnika, który cię uratował.“ Bueno!... i jestem tu.

Podał Gabryelowi chudą swą nerwowo drżącą i ogorzałą rękę, i po raz pierwszy od wejścia utkwił przenikliwie swe czarne oczy, które długo błąkały się w przestrzeni, rozpatrując każdy najmniejszy przedmiot, — w Gabryela. Ten, bardzo jeszcze zmięszany, zaledwie zdołał powiedzieć:

— Ależ pan nie masz jeszcze dość siły. Pan jeszcze nie możesz jechać. Pan sam siebie zabijasz.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Tak... odparł, tak pan sądzisz? Ależ patrz! Tam czeka na mnie koń wynajęty? Ile jest mil, jak myślisz, do najbliższej stacji? piętnaście?... To nic! Za dwie godziny nadejdzie poczta i będę tam?

Gdy to mówił, z widocznem przekoniem, że przezwycięży wszelkie trudności, wzrok jego zatrzymał się na małych ramkach na kominku stojących, w których umieszczony był staromodny dagerotyp. Wstał i kulejąc z wyrazem bolu na twarzy podszedł do kominka, wziął dagerotyp i zapytał:

— A! a co to?

— To Gracja, odrzekł Gabryel, podczas gdy rysy jego nabierały wyrazu zadowolenia. Portret ten zdjęty został w dniu naszego wyjazdu z St. Jo.

— Jak dawno?

— Przed sześcią laty. Miała wówczas czternaście lat, odrzekł Gabryel, starannie obcierając szkło portretu. Nie było piękniejszej dziewczyny w całem Missouri, dodał z braterską dumą, ze łzami w oczach w portret się wpatrując.

— A?... co mówisz?

Nieznajomy wymówił prędko kilka słów w obcym języku; ale widocznie, że były one pochlebne, ponieważ gdy Gabryel badawczo spojrzał na niego, nieznajomy uśmiechnął się i wskazując na portret, rzekł: Piękna, bardzo piękna, cudna!.. I podobna!... do brata, tak! dodał z powagą, wpatrując się w Gabryela.

Gabryel także spojrzał na portret z zadowoleniem. Cokolwiek mniej prostoduszna natura aniżeli jego, łatwoby zauważała to grzeczne kłamstwo. W poczciwej twarzy jego ani jeden rys nie przypomniał ślicznego owalu dziewczyny.

— Pyszne to, ciągnął dalej nieznajomy, i to wszystko? co?

— Jakto, wszystko? zapytał Gabryel.

— Nie ma nic więcej?

— Nie ma.

— Parę wierszy jej pisma, list, prywatne papiery byłyby skarbem... a!...

— Nic nie zostawiła, powiedział smutno Gabryel. Jak panu wiadomo przywdziała męską odzież odchodząc. To też nie może mi się pomieścić w głowie, jak poznano, że to ona, gdy znaleziono zwłoki biednego dziecięcia.

Nieznajomy nic nie odpowiedział, a Gabryel ciągnął dalej:

— Coś tak we cztery tygodnie potem ja tam powróciłem. Śniegu już nie było i najmniejszy ślad nie pozostał. Wtedy usłyszałem historję, którą panu opowiedziałem, że towarzystwo wysłane na ratunek, wszystkich znalazło nieżywych, i że między umarłymi była Gracja... Jak biedna dziewczyna mogła tam dostać się sama (gdyż o mężczyźnie, który z nią wyszedł, najmniejszej nie otrzymano wiadomości) tego pojąć nie mogę. I to mnie ciągle smuci, panie Ramirez!... Bo tylko wystawić sobie jak biedaczka tam się doczołgała i nie znalazła nikogo! Wystawić sobie, iż sądziła, że znajdzie mnie i Olly i przekonała się, że rodziny jej nie ma!... a! od tego rozum można utracić. Ona nie umarła z głodu, nie umarła! Serce jej pęknąć musiało, panie Ramirez, małe jej serduszko pękło.

Nieznajomy badawczo spojrzał na niego, nie wyrzekł jednak ani słowa. Po chwili Gabryel podniósł głowę wspartą dotąd na ręku, obtarł sobie oczy spodniczką Olly i ciągnął dalej:

— Przed rokiem starałem się raz jeszcze przejrzeć ten raport. Wtedy jeszcze usiłowałem wynaleść misję, albo prezydjum, z którego wysłano ludzi na ratunek, ażeby choć z jednym z tych ludzi rozmówić się. Ale wtedy właśnie nastała złota gorączka, Amerykanie objęli misje w posiadanie, a gdym potem poszedł do San... san... san...

— Geronimo, dodał Ramirez szybko.

— Czy już opowiadałem to panu? zapytał Gabryel zdziwiony; nie przypominam sobie tego.

Ramirez uśmiechnął się, pokazał wszystkie swoje zęby i skinął na Gabryela by ten mówił dalej.

— Gdym przybył do San-Geronimo, nikogo już tam nie było, ktoby mi mógł udzielić jakichkolwiek wiadomości; nic już nie pamiętano. Natenczas wydrukowałem w jednym z dzienników w San Francisco odezwą do Filipa Ashley — tak się nazywał człowiek, z którym wyszła — prosząc by się porozumiał ze mną. Ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Ramirez wstał.

— Tyś nie bogaty, mój przyjacielu? zapytał.

— Nie, odrzekł Gabryel.

— Ale spodziewasz się zostać nim... a!... spodziewasz się!...

— Rozumie się... mogę znaleźć żyłę tak dobrze jak inni.

— Wszystko ci jedno gdzie, mój przyjacielu?

— Wszystko jedno, odrzekł Gabryel z uśmiechem.

— *Adios*, rzekł Ramirez, zwracając się ku drzwiom.

— *Adios*, powtórzył Gabryel. Czy musisz pan koniecznie odjeżdżać dziś w nocy? Co pana nagli? Czy naprawdę lepiej jest panu?

— Lepiej? odparł Ramirez, dziwnie uśmiechając się. Lepiej! Widzisz jak jestem silny!

Wyciągnął rękę, wyprostował się i posunął jak świeca ku drzwiom, mówiąc:

— Wyleczyłeś mnie z mego reumatyzmu, przyjacielu. Dobranoc.

Drzwi zamknęły się za nim. Wsiadł na konia i popędził tak szybko, iż pomimo błota i ciemności we dwie godziny przybył do górniczego miasta, gdzie poczty z Wingdam i Sacramento zmieniały konie. Następnego poranku, podczas gdy Olly i Gabryel byli przy śniadaniu, Wiktor Ramirez rzesko wyskoczył z powozu pocztowego przed hotelem w Marysville i wszedł do hotelowego kantoru. Gdy służący pytająco spojrzał na niego, p. Ramirez podał mu kartkę mówiąc:

— Proszę posłać to pannie Gracji Conroy.

(C. d. n.)

*) *Pike* tak nazywano w Kaliforni pierwszych poszukiwaczy złota.

Piśmiennictwo polskie.

(*Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego. Tom* IX. *Nakładem Towarzystwa, Poznań 1876 str. 339.*)

Pierwsze tomy „Roczników“ dochodziły bardzo wielkiej objętości; z przyczyn nam nieznanych siódmy i ósmy zmalały do mikroskopijnych rozmiarów — obecny zaś jest znowu obszerniejszym. Nie jesteśmy zwolennikami foljałów, wiemy że treść dobra na 200 stronicach przewyższy swą wartością dzieło o 1000 stronicach, jeśli to urosło tylko rozwałkowaniem treści. Inaczej atoli ma się rzecz z „Rocznikami,“ które są jedynemi śladami pracy jedynego dziś Towarzystwa naukowego w Polsce. Brak rozpraw do drukowania i pomaganie sobie, jak w tym razie „popularnemi wykładami“ nie dobrze świadczy o rozwoju tej tak pożytecznej instytucji. Tyle o „Roczniku“ w ogólności.

Tom dziewiąty, o którym tu mowa, składa się z sześciu rozpraw naukowych, jednego „wykładu popularnego“ i jednej pracy także na „wykład popularny“ zakrawającej. Kończy zaś tom sprawozdanie z czynności Towarzystwa od stycznia 1875 do Lipca 1876 r.

Pierwszą rozprawą jest praca znanego dziejopisarza Kazimierza Jarochowskiego. Autor to jedyny może u nas, zajmujący się wcale nie po dyletancku dziejami Polski w początku XVIII wieku, to też i tym razem praca jego jest monografją z tej smutnej epoki ogólnego rozstroju Polski, a bohaterem Jan Stanisław Jabłonowski. Urodzony 1669 r. podróżował w młodości wiele. Za powrotem do kraju otrzymał przez pokrewieństwo z Sobieskimi w 18 roku życia chorą-

żostwo koronne, a w 24 województwo wołyńskie. W bezkrólewiu po Janie III trzyma się partji elektora saskiego, za co zaraz po koronacji mianuje go August II wojewodą ruskim. Przez pokrewieństwo z Leszczyńskimi przechodzi od r. 1706 stanowczo na stronę króla Stanisława Leszczyńskiego, i nawet po klęsce pułtawskiej jest jednym z najwybitniejszych choć skrytych zwolenników króla siostrzeńca Stanisława. August II o wszystkich robotach Jabłonowskiego powiadomiony, rozkazał go dnia 7 Sierpnia 1713 uwięzić i wywieść do Königsteinu gdzie do Grudnia 1716 przesiedział. Złamany kilkoletniem więzieniem, nie wdawał się następnie wojewoda ruski w politykę i umarł 28 Kwietnia 1731 we Lwowie. Autor charakteryzuje postać tę w ten sposób: „Fatalność uczyniła Augusta II istnym kamieniem probierczym moralnej i politycznej wartości Jabłonowskiego, człowieka nie bez serca i głowy, ale charakteru nie obliczającego się na nieszczęście z trudami zadania i wysokiemi celami, jakie sobie założył.“ Monografja ta pięknie jest napisaną; autor jako specjalista w tej epoce rzuca trafnie tło obrazu na którem wybitnie występuje jego bohater.

Drugą pracą pomieszczoną w „Roczniku“ jest rozprawa nie wymienionego autora p. t. „Wspólności rodowe, tworzenie się herbów i nazwisk familijnych w Polsce.“ Przyznajemy się tutaj z góry, iż wszelkie rozprawy bez wymienienia nazwiska autora nie dobre na nas robią wrażenie. Jeżeli bowiem autor jest przekonanym, że praca jego małej jest wartości i z tego powodu nie wymienia nazwiska, to dziwić się musimy najpierw jemu, dla czego pracę swą drukuje, a powtóre Towarzystwu, że pracę taką zamieszcza. Niedowierzanie to nasze już z góry powzięte potwierdza się w dalszym przeglądzie pracy. Na trzynastu stronicach usiłuje nieznany autor rozstrzygnąć jedną z najzawilszych kwestyj tj. powstanie wspólności rodowych, tworzenie się herbów i nazwisk familijnych w Polsce. Sądziliśmy z początku, iż autor weźmie sobie za podstawę kilka rodów i przeprowadziwszy sprawę naukowo, tym sposobem postawi kilka tez, któreby do reszty rodów zastosować można, choć z góry wątpiliśmy w te rezultaty, bo o czemś podobnem dopiero po wydaniu kodeksów dyplomatycznych pomyśleć można, a Wielkopolska (bo o tę tutaj autorowi chodzi) oprócz nędznego wydania „Kod. dypl. Wielk. Polski“ Raczyńskiego i nędzniejszego Wuttkego: „Städtebuch des Landes Posen.“ Lipsk 1864, nic nie posiada. Czuje to widocznie i sam autor i odwołuje się nieraz do studjów archiwalnych, ale czy te studja dobrze wypadły, o tem pozwalamy sobie wątpić. Co do wspólności rodowych nie przynosi autor nic nowego. Udowadnia tylko to, czego dziś już dowodzić nie potrzeba. Co do powstania herbów stawia autor trzy pewniki. Pierwszy, że w wieku XIII nie było w Wielkopolsce godeł dziedzicznych, jest nim dziś także i dla Małopolski a nie tylko dla samej Wielkopolski jak twierdzi autor. Dowodów na to aż nadto w dyplomatarjuszach a mianowicie dwóch najnowszych wydanych przez Piekosińskiego. Drugi pewnik łączy się tak dalece z pierwszym że trudno je podzielić. Trzeci, że to, co heraldycy o herbach przed początkiem XIV wieku pisali, jest „strzempkiem jednego gałgana fałszu i niewiadomości“ jak powiada Alex. War. Darowski w „Znakach pieczętnych ruskich“ jest takim pewnikiem, że weń chyba tylko pan Łodzia Czarniecki wydawca najnowszego a nie lepszego od innych herbarza nie wierzy. Nie są te pewniki niczem nowem bo takie same już Lelewel postawił. Co do dalszego wywodu autora, iż herby w czasie między statutem wiślickim a dziewiątym dziesiątkiem XIV wieku się upowszechniały, to dowód tak kruchy, że już samo nasunięcie faktu, iż żadna z naszych ksiąg sądowych do roku 1370 nie sięga, osłabia ten niby pewnik. W teorji tworzenia się nazwisk familijnych zgodzilibyśmy się z autorem. Co przy końcu rozprawki autor o przybyszach z zagranicy mówi, to zdaje nam się wynikło z mocnego oczytania się w naszych bałamutnych heraldykach. Wszystkie, albo prawie wszystkie familje i ich herby u nich wywodzą się od cudzoziemców a jak co do Spycimira i herbu Leliwa już wykazano nicość tych przypuszczeń, tak też z każdą rozprawką na tem polu ukazującą się upadnie wiele z nich. Całość rozprawy robi wrażenie „popularnego wykładu“ ale treść jak widzimy nie odpowiada szumnemu tytułowi.

Następną pracą jest: „Wiadomość o nieznanym synodzie dyecezjalnym Jana Odrowąża sprowskiego arcybiskupa, w Gnieźnie 1456 r.“ podana przez ks. dr. Łukowskiego. Mała to wprawdzie praca, ale przynosi najpierw wiadomość o nieznanym synodzie, a po drugie daje nam jego uchwały. Opis manuskryptu uchwał synodalnych pozostawia wiele do życzenia i okazuje, że autor jest na tem polu początkującym i nie zdał sobie jeszcze sprawy, co od wydawcy pod tym względem żądamy. Co do noty na stronie 57 to wolelibyśmy, aby jej nie było. Sprowscy bowiem piszą się od wsi Sprowa i przeto Jan ze Sprowy znaczy tyle co Jan Sprowski, a arcybiskup Jan występuje pod oboma nazwaniami nie tylko w podręcznikach jak chce autor, lecz także w dyplomatach np. w „Aktach grodzkich i ziemskich.“ Czy Jan pochodzi z tej samej familji Odrowążów co św. Jacek, o tem pozwalamy sobie jak najmocniej wątpić. Zresztą wstęp uchwał synodalnych byłby nawet bardzo dobrym, gdyby nie jeden błąd przez złe odczytanie miejsca z ksiąg kapitulnych. Aby bowiem udowodnić, iż synod odbywał się w roku 1456, przytacza autor z tych ksiąg wypisy, gdzie takie (str. 62) znajduje się miejsce: „Item..... dum Johannes archiepiscopus et Primas Wylem, virum, dominum Johannem prepositum S. Johannis....“ Zapytujemy co znaczy to Wylem? autor odpowiada (str. 63) „...że przełożony Bożogrobców od św. Jana nazwiskiem: Wylem.“ Otóż wbrew temu, iż ten Wylem zwie się Johannes nie waha się autor nazywać go Wylem. Jest tu winne złe odczytanie; zamiast Wylem jest bez wątpienia w oryginale Wylem co czytać należy wenerabylem, a przeto cały ów ustęp brzmi: „venerabilem virum d. Johannem...“ Wydanie samych statutów jest wzorowe, tylko w ustępie 1. zamiast devisim czytaj divisim, a w ust. 8. zam. videre, czytaj vivere.

Prawdziwą perłą tego tomu jest praca, a właściwie dzieło znanego z swych prac dra Kaź. Szulca pt. „Autentyczność kamieni mikorzyńskich zbadana na miejscu, z polecenia Tow. nauk. poznańskiego“ Jako wysłannik Towarzystwa, zbadał p. Szulc tę zawikłaną sprawę na miejscu, a badanie to wypadło na korzyść kamieni mikorzyńskich. Nie będąc archeologiem, muszę pozostawić dalsze wyniki pracy p. Szulca specjalistom do ocenienia, sam zaś kończę to krótkie sprawozdanie uwagą, iż rozprawa cała jest nieco rozwlekłą, mianowicie opisy okolic, któremi pan Szulc przejeżdżał, prędzej należą do geografji opisowej niż do ciężkiego studjum archeologicznego. Po tej największej, bo obejmującej strony: 73—222 pracy, następuje:

„Krótkie wspomnienie żywota i prac Karola Libelta“ przez Stanisława Koźmiana; następnie dwie przyjemnie się czytające rozprawy, jedna młodego egiptologa Józefa Kościelskiego pt. „Szoari i rapsody arabskie w Egipcie“ i Stanisława Koźmiana p. t. „O żywiole religijnym w dziełach Szekspira.“ Dział naukowy kończy „Wykład popularny“ o przejściu Wenery przez tarczę słoneczną przez dra Mateckiego, który jako taki mógł pozostać w archiwum Towarzystwa — wykład popularny i roczniki Towarzystwa naukowego nie bardzo licują ze sobą. Ze sprawozdania dowiadujemy się, iż bibljoteka Towarzystwa wzrasta, i że rozwój prawidłowy Towarzystwa jest zapewnionym. *M.*

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ponieważ samo miasto straciło już dzisiaj charakter średniowieczny, a jego domy starożytne przybrały się w nowe szaty, więc ratusz i kollegiata będzie celem naszych notat, jako najprzedniejsze pomniki przeszłości. Gdybyśmy nawet wcale nie znali dziejów Tarnowa, wtedy sam ratusz mógłby nam zaświadczyć, o niepoślednim znaczeniu tego miasta w czasach XIV i XV stulecia. Z uwagi, że całe życie publiczne mieszczaństwa koncentrowało się zawsze w ratuszu, ojcowie miasta silili się na to, aby ów przybytek swojej działalności okazałym uczynić. Każde zatem średniowieczne miasto rządzące się prawem magdeburskiem, lub na jego zasadach rozwiniętem, posiadało ratusz panujący zazwyczaj nad okolicznemi domami. Dzisiaj małobyśmy już naliczyli tego rodzaju zabytków, ale i te co zostały, chlubne dają świadectwo przeszłości. Taki n. p. ratusz we Wrocławiu, zwłaszcza jego sala radziecka, przedstawia jeden z najpiękniejszych okazów ostrołukowej sztuki na ziemiach dawnej Polski. A Sandomierz, Poznań, Kazimierz i tyle innych miast naszych, jeszcze po bieżące czasy szczycą się średniowiecznemi ratuszami.

I Tarnów niepoślednie w tym względzie zajmuje stanowisko; jego bowiem czworoboczny ratusz jest ładnym pomnikiem ostrołukowego budownictwa. Nie mówimy nic o jego wewnętrznym rozkładzie, gdyżby to nam za wiele miejsca zajęło, zato o powierzchowność artystyczną tego gmachu potrącamy. Bez zaprzeczenia najokazalszą częścią ratusza jest wysoka i okrągła wieżyca, zakończona dachem formy basztowej. Charakterem swoim da się ona zaliczyć do budowli takich, jakie widzieliśmy w Przeworsku i jakie Kraków posiada w resztkach swoich czternastowiecznych fortyfikacyj, co się przy bramie Florjańskiej ostały. Charakter więc wojennego budownictwa gotyku, co go niektórzy wiślano-baltyckim ostrołukiem mianują, dominuje tu w całej pełni. A bogate zaś kroksztyny ramienne, układające się w system arkadowy, nadają owej wieżycy z małą liczbą okienek, znamiona fortyfikacyjnej baszty, w którą tysiące taranów nieprzyjacielskich

*

uderzało za czasów średnich stuleci. Ze znanych nam wież ratuszowych epoki ostrołukowej, tarnowska najestetyczniej się przedstawia; nie tynkowana bowiem ta budowa okrągła, pojęta jest z całą znajomością proporcyj architektonicznych. To też strzelając wysoko po nad czworobok samego ratusza, zostaje z nim w zupełnej harmonji konstrukcyjnej, a swoją lekkością i powagą wiekową nadaje mu wiele powabu. Szkoda tylko, że zabytek ten jest dzisiaj dosyć opuszczonym, przez co może miasto utracić najprzedniejszy pomnik starożytnego budownictwa swego.

Zasady renesausu tak wcześnie zakorzenione w Polsce, i na ratuszu tarnowskim wycisnęły swoje piętno. Czternastowieczne jego mury okryły się tynkiem, a gotyckie okna przybrały w szaty średniowiecznego klasycyzmu. Nie bogate to wprawdzie kreacje, zawsze jednak zmieniły zewnętrzny charakter ratusza, ku czemu wielce jego renesansowe blanki pomogły. Modyfikacja owa, czy też odnawianie ratusza musiało nastąpić w końcu XVI stulecia, albowiem renesans jaki na nim widzimy, nosi na sobie piętno rozkładowe, zbliżające się bardzo do baroccowych znamion. Mimo to jednak, portal otaczający główne podwoje ratusza, wygląda wcale artystycznie. Widzimy w nim i fronton pełny, i fryz pięknego profilowania, i rozkład architektoniczny nie przedstawiający nic do życzenia. A gdyby nie pnące się wysoko dzisiejsze schody, które w znacznej części zasłoniły lekkie kolumny koryncki ego kroju, to ów portal mógłby się liczyć do najprzedniejszych zabytków sztuki w Tarnowie. Musimy tu nadmienić, że portal tarnowskiego ratusza, pod względem artystycznym stoi o wiele niżej od portalu kościoła Benedyktynek jarosławskich, a przewyższa znowu znacznie takiż zabytek kościoła katolickiego w Złoczowie.

Już to przyznać musimy, że kollegiata tarnowska daleko okazalej wygląda tak wewnątrz jak i na zewnątrz, niż katedra lwowska. Podczas gdy ostatnią zepsuły nieszczęsne kaplice, i nieznośne baroccowe malowania okrywające wnętrze gotyckiej świątyni, w Tarnowie nie ma tyle i tak nieartystycznych naleciałości. Na zewnątrz wprawdzie mury kollegjaty straciły dużo ze swej powagi wiekowej wskutek otynkowania, wnętrze jednakże tej świątyni zachowało w sobie wiele charakteru, co zaraz na wejściu owiewa cię duchem średnich stuleci. Nie znaleść tu ani owych jaskrawych malowań, stanowiących właściwość lwowskich kościołów, ani licznych świecidełek znamionujących prowincję, ale prawie wszystko dostrajane do poważnego tonu minionych stuleci. Przepyszne pomniki renesansowe mieszczące się w owej kollegjacie, stanowią jej część najprzedniejszą. Zanim przecież zaczniemy się w nich rozpatrywać, nadmienimy pierwej, że kollegjata tarnowska wznosząc się na podstawie dwóch prostokątów, z których węższy, tworzy prezbiterjum, zamyka się połową ośmiokąta, co z końcem XIII stulecia, wyparł półkuliste apsidy z bazylik romańskich. Główna zaś nawa została ożywioną wysokiemi oknami i profilowana gotycką kolumnadą arkadowego układu, z której gęsto wystrzelające kamienne linje, rozprysły się po wysokiem sklepieniu w gwiazdy i krzyżowego charakteru żebrowania. Wprowadzona znowu kolumnada wytworzyła tutaj dwie nawy boczne o połowę niższe od głównej, równie o ostrołukowym charakterze.

Spotkać się w Krakowie z okazałym artystycznym grobowcem nie jest to nic szczególnego; tam bowiem gdzie się koncentrowało życie dawnej Polski, jest naturalnem, że jej bohaterów czczono pomnikami na miejscu ich publicznej działalności. Uwielbiając zatem nagrobki i sarkofagi Kazimierza Jagiellończyka, Jagiełły, Olbrachta, Zygmuntów, Zabrzydowskiego, Gamrata lub Wawrzyńca Spytka Jordana, doznaje się uczucia, że one tam być powinne, aby znacząc pamięć zasłużonego nieboszczyka, jednocześnie królewskiemi znamionami sztuki świeciły w odwiecznym grodzie Krakowa. Każda stolica musiała skupić w sobie najprzedniejsze zjawiska sztuki, jakie jej naród wytwarzał wiekami. Gdy ci jednak przyjdzie spotkać prawdziwe dzieło sztuki w której z prowincjonalnych świątyń, doznajesz pewnego zdziwienia i jednocześnie przychodzisz do przekonania, że naród, który po różnych punktach swojej ziemi porozsiewał pomniki rzeczywistej wartości artystycznej, musiał się zespolić życiem z linją estetyczną, musiał mieć w sobie głębokie poczucie piękna. Z pewnością nie inny wniosek przyjdzie wyciągnąć, gdy stanie się przed grobowcem wiekopomnego Jana i Krzysztofa Tarnowskich. Pomnik to królewskiego zakroju, a poważny jak czasy mężów, których pamięć zaznacza w tarnowskiej kollegjacie. (C. d. n.)

POGADANKI.

V.

Zbliżają się wybory polityczne, w całym kraju będzie wiele krzyku i hałasu, przyszli posłowie będą pięknie mówili i nie mało przyrzekali, w jednej i tej samej miejscowości będą się wzajemnie zwalczali kandydaci należący do tego samego stronnictwa, co będzie wodą na młyn partji przeciwnej, bo gdzie się dwaj czubią tam trzeci zawsze korzysta — krótko mówiąc za cztery tygodnie w całej Galicji będzie nieznośne *cri-cri*!

Użyłem nazwy, której jednak nie znają czytelnicy *Tygodnia* — pospieszam więc z wyjaśnieniem.

Cri-cri, o którem dziś mówi cała Europa, jest małą zabawką, składającą się ze sprężyny w ołowianej oprawie, która pociśnięta wydaje dźwięki, podobne do hiszpańskiej castagnetty. Wynalazł ją w Paryżu jakiś biedny zegarmistrz, a że zabawka podobała się mieszkańcom stolicy świata cywilizowanego, więc w krótkim czasie doszła aż do nas nad brzegi Pełtwi, i dziś słychać wszędzie łoskotliwe *cri-cri*. Niemcy, naród będący we własnem przekonaniu pierwszym na świecie, nienawidzący z całej duszy Francuzów i cywilizacji francuskiej, zaczął jak według zwyczaju natychmiast fałszować ten nowy wynalazek, skutkiem czego paryskie *cri-cri* stało się rzadkością, bo we wszystkich magazynach pełno falsyfikatów niemieckich, które psują się za pierwszem pociśnięciem.

O, naród niemiecki, to rzeczywiście wielki naród! A dla czego? Bo przed sześciu laty udało mu się wybić Francuzów... Rzecz atoli godna zastanowienia, że nikt nie nazywa wielkim pierwszego lepszego Iwana, gdy ten podrażniony przez człowieka inteligentnego, wyrwie kół z płota i napastnikowi dobrze skórę obije. Nie sztuka wybić, ale sztuka ze zwycięstwa skorzystać i światu dać coś dodatniego. A Niemcy ślicznie skorzystali, bo myśląc, że Francję zrujnują, sami zbankrutowali. Ludzkości dali także bardzo wiele, bo aż dwadzieścia tysięcy dzieł napisanych o „myśleniu“ na które każdy człowiek rozumny już dziś patrzy z politowaniem. Niemcy umieją tylko pisać historję i lud nauczać, ale więcej nic, nic! Każda myśl wielka, którą potem starannie rozebrali i w system ułożyli, przyszła do nich z Zachodu, ale własne ich łono nie wydało nic, coby ludzkość wiodło naprzód drogą postępu. I nie mogło być inaczej, naród bowiem pozbawiony intuicji i poczucia piękna, może być tylko pożytecznym pracownikiem ale nigdy twórcą; szeregowym, ale nigdy wodzem w cywilizacyjnym pochodzie całej ludzkości.

Takie uwagi przyszły mi na myśl, gdym wziął w rękę niemiecki falsyfikat paryskiego *cri-cri*. Krzyczą na Francuzów, a nawet takiej drobnostki nie umieją sami wymyśleć!

Nie powiem żeby *cri-cri* było rzeczą arcyrozumną, ale nawet najrozumniejszy człowiek bawi się czasem z dziećmi balonikiem i bajki im opowiada. *Cri-cri* jest też taką zabawką, taką facecją, takim dowcipem, który dla tego się podoba, że jest nowym i oryginalnym. Jutro może o nim zapomną, lecz mimo to o jego twórcy będą długo jeszcze mówili, że był człowiekiem z talentem, bo tylko utalentowani mogą stwarzać rzeczy oryginalne.

To com tu powiedział, mógłbym *mutatis mutandis* odnieść do p. Fiszera, artysty dramatycznego sceny lwowskiej, który zeszłego tygodnia przedstawił w teatrze farsę okolicznościową, zatytułowaną także *Cri-cri*. Autorowi nie szło o rozwiązanie żadnej zagadki psychologiczno-społecznej, on skorzystał jedynie z epidemji w tej chwili grasującej, i hałaśliwą zabawkę francuską użył za sprężynę, poruszającą kilka osób na scenie. Stary i nerwowy biurokrata, typ czysto galicyjski, kocha się w młodej panience, która atoli jak Bóg przykazał kocha się w młodym i przyzwoitym człowieku. Mama ciągnie za biurokratą, papa jest obojętnym, a młodzi ludzie nie wiedząc co począć, uzbrajają się w *cri-cri*, i łoskotem, którego nerwy biurokraty znieść nie mogą, wypędzają go z domu, sami zaś łączą się, jak się tego można było spodziewać. Oto praca cała, lecz ponieważ dosyć w niej humoru, i nie brak postaci charakterystycznych, więc nie da się zaprzeczyć, że p. Fiszer ma talent do tego rodzaju utworów i jeżeli dalej popracuje w nowym zawodzie, z czasem da nam może coś nierównie lepszego.

* * *

Jesteśmy Polakami, synami wielkiego niegdyś narodu, który uległ przemocy, lecz mimo to żyje i żyć będzie! Oto słowa, które w sercach powinniśmy mieć głęboko wyryte; oto hasło nasze, które powinniśmy powtarzać w kraju i za granicą. „Pomagaj sobie a Bóg ci pomoże“ mówi przysłowie, to też pomagajmy sobie gdzie i jak możemy, aby cały świat wiedział że Polacy żyją i Polska żyje. W czasach zwykłych, kiedy w Europie nie dzieje się nic nadzwyczajnego, pracujmy w domu cicho a wytrwale, ale ilekroć widnokrąg się chmurzy, ilekroć zbliżające się wypadki mogą nam pomocną podać rękę, wołajmy wszędzie, we wszystkich stolicach europejskich, że mimo politycznego upadku nie uważamy się za umarłych, że mamy prawo do bytu samodzielnego, i że do tego bytu dążymy. W chwili obecnej powinniśmy to czynić z całem przeświadczeniem o świętości naszej sprawy, tem śmielej i wytrwalej, ile że wroga Moskwa, bałamucąc opinję w Europie przy pomocy dyplo-

matów, dzienników i rubli, chciałaby w świat wmówić, że Polska istnieć przestała. W przyszłym tygodniu wrócimy do tego przedmiotu aby go wszechstronnie wyświecić; dziś zanotujemy tylko jeden fakt, który przekona naszych czytelników, jak niezbędną jest dla nas rzeczą przypominanie się cywilizowanej Europie. Niejaki p. Pagani, wielki zwolennik moskiewskiej polityki na Wschodzie, napisał we włoskim dzienniku *Gazzetta d'Italia*, że Moskwa może śmiało opiekować się całą Sławiańszczyzną, ponieważ stoi cywilizacyjnie bardzo wysoko. Mówiąc o sztuce (!) rossyjskiej, p. Pagani ośmielił się napisać, że p. Siemiradzki, sławny twórca *Świeczników Nerona*, jest Moskalem. Ohydny ten fałsz byłby może przeszedł niespostrzeżony przez Polaków, gdyby w Rzymie nie był się znalazł Polak, który go sprostował w tym samym dzienniku. Przyszło więc do tego, że nam już odbierają naszą sztukę! Lecz powiedzmy sobie prawdę, czy myśmy sami temu nie winni? Dla czego każdy z naszych artystów, podpisując się na obrazie, nie dodaje zaraz tego jednego słowa: *Polonus?* Wszak to dla nich tak mało, a dla Polski tak wiele! Iluż to mamy artystów z nazwiskami niemieckiemi, których po latach kilkudziesięciu Niemcy z pewnością sobie przywłaszczą, jak przywłaszczają sobie Kopernika, jeżeli oni sami nie zabezpieczą się już teraz przeciwko takiej grabieży. Nie lepszy los spotka artystów nawet z polskiemi nazwiskami, gdyż ich dzieła rozsypane po całym świecie, będą sobie przywłaszczali Moskale. A więc artyści polscy, bez względu na to czy mieszkacie w kraju czy za granicą, umieszczajcie na każdym obrazie wyraz *Polonus*, a spełnicie czyn patrjotyczny, którego kraj od was żąda!

* * *

Smutne wiadomości nadchodzą z Warszawy. Oto jeden z wyższych dygnitarzy moskiewskich ośmielił się niedawno powiedzieć publicznie, że ludność stolicy Polski, tak patrjotyczna do niedawna, zaczyna zbliżać się do Moskali i coraz chętniej posługuje się ich językiem. Całe to twierdzenie wzięlibyśmy za oszczerstwo, gdyby niestety nie potwierdzały go źródła pewniejsze, bo nasze własne. W rzeczy samej Warszawianie niezmuszani przez nikogo, a powodowani li fałszywą grzecznścią, w stosunkach z Moskalami łamią własny język i bądź co bądź usiłują mówić po moskiewsku. Jeżeli by to dłużej potrwać miało, Moskale mieszkający w Kongresówce, przestaliby w krótce uczyć się po polsku, jak to już uczynili Niemcy w Wielkopolsce. Miejmy atoli nadzieję, że smutny ten obłęd rychło przeminie, a tymczasem bierzmy od Warszawianów wszystko dobre, które nam dają.

Do tych rzeczy dobrych, należy bez wątpienia nowa komeja p. Zaleskiego, pt. *Złe ziarno*, którą na scenie lwowskiej ujrzeliśmy pierwszy raz ubiegłej środy. Autor komedji *Przed Ślubem*, która takiem powodzeniem cieszy się w naszem mieście, dał nam i w tym utworze wiele scen pięknych i myśli poczciwych, a jeżeli nie każdy charakter jest w niej wykończonym i oryginalnym, i jeżeli budowie nie jedno można zarzucić, to zważmy, że jak człowiek tak i dzieło jego musi być ułomnem. Ułomność uderza najbardziej w rozmowach, które dość często toczą się między czterma znajomymi, i niby przyjaciołmi. Alež ci panowie nie są ani na chwilę dowcipni, chociaż takimi chciał ich mieć autor, tylko bez przerwy mówią sobie niegrzeczności i grubiaństwa. To też publiczność śmieje się nie z tych grubiaństw, lecz z tego, że za nie nie obraża się żadna z osób bezpośrednio interesowanych. Zanim recenzent *Tygodnia* obznajomi naszych czytelników z treścią *Złego ziarna*, radzimy wszystkim, by jak najprędzej zobaczyli ten utwor na scenie, a pewnie nie powiedzą że wieczór stracili.

Józef Rogosz.

Listy ze świata.

II.

(*Ciąg dalszy.*)

Paryż d. 1. Września 1876 r.

Wątpimy, by którakolwiek z przechwalonych oper Wagnera na kogokolwiek w podobny oddziałała sposób.

Nie wiemy o ostatniej, to jest o „Niebelungen-Ringu“ której nie słyszeliśmy jeszcze. Mówimy o dawniejszych, o „Tannhauzerze“ o „Lohengrin'ie“ o „Tristan'ie i Izold'zie“ z któremi podczas pobytu naszego w Niemczech, na różnych spotkaliśmy się scenach, wynosząc często znudzenie, a zawsze chłodną obojętność.

W pierwszej lepszej z rzędu piosnce Schubert'a więcej dźwięczy melodji, a wskutek tego każda z nich większym myśli i uczucia tryska zasobem, niźli te wszystkie olbrzymie oceany muzyki razem wzięte.

Charakterystyczną cechą oper Wagnerowskich jest niesłychana ilość tak zwanych „recitatiwów“ z rzadka śpiewem przerywanych. W „recitatiwach“ nie masz melodji. Skandowana to tylko mowa śpiew naśladująca, używana w dłuższych scenach jako przejście od jednej arji do drugiej, jako rodzaj koniecznego międzyaktu, pozwalającego odetchnąć śpiewakom. We włoskich teatrach amatorowie muzyczni wcale ich nie słuchają, wtedy tylko po lożach przerywając gawędki, i ku scenie w religijnem pochylając się milczeniu, kiedy orkiestra do jakiegoś śpiewnego preluduje ustępu.

Otóż wątpimy by pan Wagner „recitatiwów“ z jakiegoś dziwacznego nadużywał upodobania. Bynajmniej! Rację, logiczniejszą ich rację znajdziemy pono w braku melodyjnych natchnień, do jakiego mimowolnie musi się poczuwać dusza artysty. Kilka rzadkich kropli drogocennego tego nektaru, rozwiedzionych olbrzymią masą harmonijnych warjacyj, starczyło mu na stworzenie prawie w każdej ze swych oper, jednej jakiejś arji, jednego lub dwóch duetów początkowego chóru, a finałowego przypuszczam kwartetu lub kwintetu. Z tych materjałów można było zbudować jednoaktową co najwięcej operetkę, a tu nieszczęściem wybrany przedmiot do obszerniejszych sposobił się rozmiarów. W takim to kłopocie wspomniane „recitatiwa“ jawią się mu zbawczą kotwicą. Sowitą takowych garścią próżne aktów zasypać łamy, wydaje mu się genjalnym pomysłem. Raz, dwa, trzy! *Le tour est fait!* i sążnista lecz pusta i nudna opera gramoli się na scenie! Jest w niej podostatkiem wszystkiego: wspaniałej instrumentacji, umiejętnego wyzyskania wszelkich zasobów sztuki, umiejętnego posługiwania się niemi; brak atoli jednej rzeczy: duszy (melodji), lub jeśli i jest takowa to taka ubożuchna, taka maluczka, że jej doprawdy niedopatrzyć w tym gmachu tak olbrzymim, tak wspaniałym a niestety tak bezludnym!

Wieści jakie tu nadchodzą z Beyreuth, o świeżo tam wykonanym ostatnim utworze tego artysty, żadnej wybitnej w tej manierze nie zapowiadają nam zmiany, tę jednę chyba nie arcychwalebną, iż „kompozytor przyszłości“ dla podtrzymania swych sążniście długich i nudnych elukubracyj ucieka się do środków iście kuglarskich. Autor nie tylko muzyki, lecz i słów zarazem, ostatnie swoje arcydzieło przepełnił takim zbytkiem maszyneryj teatralnych, kulisowych figlów, dekoracyjnych przepychów, iż pobici przezeń na głowę dotychczasowi mistrze pod tym względem pp. Clairville, Jaime, Busnach itd. autorowie słynnych „feerji“ paryskich, wybierają się w podróż do Beyreuth, by na miejscu skonstatować olbrzymie postępy tej specjalnej sztuki i zaangażować p. Wagnera na dekoratora do nowych widowisk w rodzaju „Białej kotki“ lub „Kopciuszka.“

Dawniejsza „Muzyka przeszłości“ obchodziła się doskonale bez tych wszystkich dodatków niegodnych istotnego artyzmu, i „Don-Žuan“ Mozarta przedstawiony chociażby w szopie bez żadnych dekoracyj i przez artystów w zwykłe odzianych suknie, mógł pomimo to słuchaczów w niewysłowione wprowadzać zachwyty. Muzyka Wagnera, „Muzyka przyszłości“ potrzebuje elektrycznych oświetleń, orkiestr niewidzialnych, dekoracyj raptownie zapadających w ziemię, innych wyrastających z pod ziemi jeszcze szybciej, grzmotów, piorunów, śpiewających smoków, mówiących niedźwiedzi itd. itd. by znudzonego słuchacza i to jeszcze z wielką biedą, przez godzin kilka w wygodnym zatrzymać fotelu. Nie jest że to mimowolnem wyznaniem swej nieudolności? Nowa Opera złożona z czterech oddziałów: „Złoto Renu“ (Reingold), „Walkirja,“ „Siegfried“ i „Zmierzch Bogów“ (Götterdaemmerung), z których każdy jeden wieczór zajmuje, stawia na scenę mitologiczne legendy Starej Germanji, kończące się, jak to wyraża tytuł ostatniego jej działu, upadkiem wiary przeszłości przed brzaskiem świtającego chrześcijanizmu. Ulubiony to w ostatnich czasach temat niemieckich artystów, obrabiany przez nich na wszelkie możliwe tempa piórem i pędzlem, dłutem i smyczkiem, pomimo to, wciąż jeszcze jak „Joanna d' Arc“ we Francji, na rzeczywistego czeka mistrza. By nim był p. Wagner wątpimy. Według wypowiedzianej z góry zasady, trzymając się zarówno zdala od przesadzonych zapałów i absolutnych negacyj, przypuszczamy, że dzieło jego zawiera dużo niegorszych rzeczy, że doskonałością harmonijnego obrobienia kilku rzadkich i ubogich melodyj, zapewni mu wybitne stanowisko w dziejach sztuki, lecz by było jak to twiedzą zapaleńcy, ostatnim jej wyrazem, by nową muzyki wytwarzało erę, by zacierało zupełnie arcydzieła przeszłości, by nawet niektórym z nich dorównać było w stanie, temu a priori wierzyć nie chcemy, temu zaprzeczamy z głęboką ufnością w prawdę naszych przewidzeń.

Krytycy francuscy, powodowani mniemanym patrjotyzmem, z szaloną zajadłością rzucili się na autora i na jego nową produkcję wywołującą tyle hałasu. Sądzić tę ostatnię jest prawem każdego, a obowiązkiem tych, którym czytająca publiczność powierzyła szalę cenzury. Inaczej atoli ma się rzecz co do osoby artysty, co do jego charakteru, co do prywatnych jego stosunków. Krytyk dotykający takowych, mija się z tem, co czynić powinien, i chociażby nawet mówił prawdę, chociażby zarzuty jego były sprawiedliwemi, zawsze źle czyni. Tem bardziej więc, gdy zarzuty, jak np. te, które podnoszą krytycy paryscy, spoczywają na niesłusznych, niedorzecznych lub błahych podstawach.

Czy chcecie wiedzieć dla czego Ryszard Wagner jest zbrodniarzem, niegodnym uczciwego wspomnienia, zakałą człowieczeństwa, wstydem cywilizowanej Europy, i tak dalej bez końca? Przeczytajcie artykuł p. Edmunda About niedawno w dzienniku *Le XIX Siècle* wydrukowany, przeczytajcie artykuł p. Alberta de Lasalle również niedawno umieszczony w szpaltach tygodnika *Le Monde illustré*, przeczytajcie sporo innych artykułów po różnych perjodycznych rozsianych publikacjach, a dowiecie się o tem dokładnie.

Dla tego naprzód, iż jest Niemcem i że jako taki napisał muzykę do kilku patrjotycznych hymnów i piosenek, wymierzonych naturalnie przeciwko Francji. Dla tego potem, że rewolucjonista niegdyś, w 1846 r. dziś stał się królów poplecznikiem; dla tego nakonie, iż jak się pokazuje, uwiódłszy kiedyś czyjąś tam żonę, żył z nią w nieprawym stosunku. Ta ostatnia zbrodnia zupełnie nieznana w słynnej z czystości a przykładności obyczajów Francji, z cnotliwego serca p. About wywołuje krzyki oburzenia.

Oto akt oskarżenia przeciwko „kompozytorowi przyszłości“ redagowany przez większość francuskich dziennikarzy. Mniejsza o prace jego publiczne, mniejsza o to czy stworzone przezeń dzieła godnemi są uznania lub zasługują na naganę; wyżej wymienione grzechy prywatnego jego żywota wiodą prym przed kratkami francuskiej krytyki, która bądź co bądź bezwzględnie ciska mu kamień potępienia. Do takich to aberracyj umysłowych doprowadzić może tak piękna cnota jak patrjotyzm, gdy jej kto da za przewodnika nie logikę, nie zdrowy sens, lecz tylko nerwy rozdrażnione; do takich to skrajnych niesłuszności, doprowadzić może najświętsze z praw, miłość swej zie-

mi, gdy miast rezonowanem uczuciem, stanie się ślepą namiętnością. *Chaque médaille a son revers. L'abus d'une vertu devient un défaut. C'est le cas de le dire ou jamais.* Strzeż nas Boże od takich błędów! Strzeż nas od stronnych sądów, od stronnych zapatrywań się na rzeczy! (Dok. nast.)

Z pola wielkich przedsięwzięć.

Koleje azjatyckie.

Najdzielniejszym czynnikiem w rozwoju cywilizacji, jest bezwątpienia łatwa komunikacja, i dążące w ślad za nią nabywanie doświadczeń zdobytych przez ludy żyjące w rozmaitych warunkach i zużytkowanie ich bogactw przez wymianę. Mamy na to tysiączne dowody z historji; największego bowiem rozwoju dosięgły ludy zamieszkujące wybrzeża morskie. Fenicjanie, Egipcjanie, Grecy, Rzymianie, Kartagieńczycy dają temu świadectwo. Nic więc dziwnego, że w chwili obecnej przejawia się wszędzie dążność do zaprowadzenia kolei, tego najlepszego środka komunikacji, w kraje dotąd zupełnie barbarzyńskie, a posiadające skarby przyrodzone. Jeszcze wybitniej pokazuje się potrzeba łatwej komunikacji, jeżeli dwie bogate strony świata rozdzielone są przestrzeniami niecywilizowanemi i przeszkadzającemi w wymianie ich bogactw. W takim stosunku znajduje się Europa, a z drugiej strony Indje o niezmierzonych skarbach i Chiny, z któremi handel herbatą już by wystarczał do pobudzenia najrozmaitszych projektów mających na celu połączenie ich z Europą. Wprawdzie kanał Suezki potrafił w części usunąć dawne przeszkody, lecz zawsze jeszcze przewóz towarów jest długi i kosztowny i w ogóle nic do celów kupieckich tak dobrze służyć nie może jak kolej żelazna. To też od niedawnego czasu pokazało się kilka projektów połączenia lądowego, podanych przez powagi europejskie, o których zamierzamy dać krótkie sprawozdanie.

Zaledwie się koleje w Europie rozwijać zaczęły, ukazały się projekta Pereiry i Conollego, o których jednak w czasach owych jeszcze nie można było myśleć na serjo. Dopiero po skończeniu budowy kanału Suezkiego, znakomity inżynier Cotard, przedstawił Lessepsowi projekt przeprowadzenia kolei łączącej Indje z Rossją. Wnet został utworzony komitet założycieli, którego celem było zbadanie dokładne miejscowości, przez które kolej miała przechodzić. Syn Lessepsa z inżynierem Stuartem pojechał w tym celu do Indji i zbadał te strony, o ile można było dokładnie. Na podstawie tych badań Cotard i Lesseps wykreślili plan kolei mający bieg następujący.

Kolej miała się zaczynać w Saratowie, potem przejść przez Uralski i dalej ciągnąć się doliną Uralu; ztamtąd pomiędzy Uralem i Kaspijskiem morzem przejść do Chiwy, dalej przez pustynię do Buchary, Samarkandy, Chodzentu i Taszkentu. Do tego miejsca kolej przebiegałaby kraje zbadane podczas wypraw rossyjskich, ale od niego na południe weszłaby w kraj bardzo mało znany. Dla tego w projekcie Cotarda i Lessepsa wyznaczone są cztery linje do połączenia Taszkentu z Indjami. Druga linja przez tych inżynierów proponowana przechodzi trochę wyżej, bierze początek w Orenburgu, przechodzi przez pustynię Barsuki i Kara-Kum i przez fort Perowskiego przybiega do Taszkentu.

W obu tych projektach zbudowanie kolei aż do Taszkentu nie napotkałoby nadzwyczajnych trudności, nawet nie wymagałoby kosztów nadzwyczajnych, bo teren dobrze się nadaje do budowy. Zupełnie inaczej rzecz sie ma na przestrzeni dzielącej Taszkent od Indji. Równina się kończy i występują pasma gór, w których budowa spotykałaby wielkie przeszkody. Odnogi Kuen-Lunn i Himalayu piętrzą się przed podróżnikami. Wyniosłe przejścia w górach, przez któreby kolej musiała przechodzić wznosząc się na dwanaście, a nawet na ośmnaście tysięcy stóp, byłyby to przeszkody trudne do zwalczenia. Dodać do tego jeszcze trzeba, że ludność jest w tych stronach nadzwyczaj wojowniczo usposobiona i nie ulega wątpliwości, że jeśliby nie była zupełnie zgniecioną, zbrojną ręką przeszkadzałoby zaprowadzeniu kolei.

Jest jeszcze jedna przeszkoda, mająca znaczenie ekonomiczne. Kolej według projektu Cotarda łączyłaby dwa kraje bogate, któreby się na pewno zajmowały wymianą na wielką skalę. Lecz cała przestrzeń między niemi jest zupełnie barbarzyńska i trzebaby bardzo długiego czasu, żeby kolej mogła tam zaszczepić cywilizację i wciągnąć do ruchu ogólnego. Cała jej działalność ograniczałaby się na handlu transytowym Indji z Europą. Kraje pośrednie byłyby obojętne. Wszystkie razem wyliczone przeszkody każą przypuszczać, że projekt Cotarda i Lessepsa zaledwie w dalekiej przyszłości będzie mógł być urzeczywistnionym.

Daleko prawdopodobniejszem jest przeprowadzenie kolei wzdłuż całej Syberji do Chin. Natrafiłaby tu ona na niezmierzone, a dotąd jeszcze wcale nie wyzyskane i czekające tylko ułatwienia komunikacji bogactwa przyrodzone. Wzdłuż całej linji znajdują się w nieprzebranej ilości płody ziemi. Żelazo prawie na każdem miejscu, oprócz tego złoto, ołów, grafit, kość słoniowa (szczątki przedpotopowe), których dobywanie zaledwie nadpoczęto. Na połączenie Niższego Nowgorodu z Uralem, dano już koncesję, i w pewnej części budowy już są rozpoczęte. Projekt kolei syberyjskiej wypracowany przez półkownika Bogdanowicza ma kierunek następujący: zaczyna się w Niższym Nowgorodzie i przez Kazań, Ekaterinenburg, Tiumeń, Omsk, Tomsk, Krasnojarsk, Irkutsk idzie po równinie nie stawiającej żadnych prawie przeszkód budowie. Tutaj zaczynają się już trudności większe, jednak zupełnie nie odstraszające, kolej otacza jeziora Bajkalskie, przechodzi przez góry Jabłeczne i od Kailaru zawraca do Chin i kończy się w Pekinie.

W wykonaniu tego projektu Bogdanowicza nie znajdą się już takie trudności jak w projekcie Lessepsa i Cotarda. Większa część kolei przebiegałaby przez ziemie znajdujące się pod panowaniem rossyjskiem i tylko jedna siódma musiałaby być w Chinach, które w ostatnich czasach już mniej nieprzyjaźnie patrzą na cywilizację Zachodu i nawet pozwoliły na wybudowanie kolei z Szanghaiu do Wusang, która już jest ukończoną.

Bogdanowicz starał się jednocześnie uczynić zadość wymaganiom stawianym przez Lessepsa, mianowicie połączenia Indji z Rossją. Proponuje on wybudować od syberyjskiej kolei, od Ekaterinenburga, odnogę, którąby szła na południe przez fort Perowskiego do Taszkentu, a ztamtąd dalej do Indji. Projekt ten zyskał w roku ubiegłym na kongresie geograficznym w Paryżu powszechne uznanie i nawet Lesseps przyznał mu niepospolite zalety.

Oprócz tej kolei przecinającej wzdłuż całą Syberję, rząd rossyjski starał się już w r. 1874 wejść przez jenerała Falkenhagena w układy z rządem perskim, i chodziło mu o pozwolenie przeprowadzenia linji poczynającej się w Tyflisie na Kaukazie i zmierzającej przez Tabris do Teheranu. Kolej tę możnaby potem złączyć z koleją syberyjską lub koleją projektu Cotarda i otrzymanoby w ten sposób pierścieniową kolej otaczającą dwa wewnętrzne morza Kaspijskie i Aralskie. Miałaby ona nadzwyczaj ważne znaczenie polityczne, gdyż w każdej chwili Rossja mogłaby w dowolny punkt granicy wysłać wojska i jednocześnie wypuszczając z pierścienia kolejowego promienisko na wszystkie strony odnogi, wciągnąć w obrót głównej kolei wszystkie kraje sąsiednie. Główna kolej grałaby rolę głównej arterji, a odnogi wysyłałyby ze wszech stron do niej materjały do przewozu.

O opisanych tu kolejach, rząd rossyjski myśli na serjo i spodziewać się należy, że niedługo przystąpią do urzeczywistnienia którejkolwiek z nich, najpożyteczniejszej dla rządu.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Voltaire et la société française au XVIII siécle. Voltaire, son retour et sa mort, par M. Gustave Desnoiresterres, 1 vol. in 8o. Didier, 1876.

Po wielu latach skrzętnych i pracowitych poszukiwań, doszedł nareszcie p. Desnoiresterres do celu, który sobie sam zakreślił; postępując ślad w ślad za swoim bohaterem, złożył go do mogiły, gdzie popioły jego nie znalazły spokoju, a towarzystwo francuskie, którego badał dzieje, doprowadził do wrót Rewolucji. Styl tego ostatniego jako też i poprzednich tomów jest niepoprawny i trochę za ciężki, jednakowoż dzieło całe cechuje pewność w objaśnieniach i duch zamiłowania prawdy i sprawiedliwości.

— La Legende de Versailles, par M. Henri Blaze de Bury, 1 vol. in 8o. — Didier. 1876.

W książkach z podpisem tego autora przyzwyczailiśmy się spotykać zawsze z nowością. Pan Blaze de Bury posiada umiejętność pogodzenia poezji z historycznemi faktami i to może najmniejsza jeszcze jego zasługa. Jego żywo odrysowane portrety Ludwika XIII, Pani de Longueville, pani de Maintenon Ludwika XV, przemawiają prawie do czytelnika i tak co do formy jak co do treści nie pozostawia cała praca nic do życzenia.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— „Geografia Galicji“ Łucjana Tatomira wyszła w drugiem wydaniu, nakładem K. Wilda we Lwowie. Nie rozpisujemy się obszernie o tem dziele, bo sam fakt, że w ciągu niespełna roku pierwsza jego edycja została w zupełności wyczerpaną, jest najlepszą pochwałą, jak również okoliczność, że z drugiego wydania sama Rada szkolna zakupiła 500 egzemplarzy. Druga edycja została przez autora znacznie wzbogacona nowemi szczegółami.

— Towarzystwo tatrzańskie wydało pierwszy swój rocznik ozdobiony wieloma rycinami. Prócz sprawozdań, statutu i innych dokumentów, znajdują się w nim poezje Asnyka i Anczyca, kilka zajmujących rozpraw z dziedziny geografji i znajomości Tatr, tudzież opisy wycieczek na szczyty Tatr.

— Dowiadujemy się, że jest zamiar wygotowania spisu wszystkich dzieł i artykułów dziennikarskich, napisanych przez znakomitego naszego powieściopisarza J. I. Kraszewskiego, i że spis ten ma być gotowym i wydanym w 1880 roku, to jest w pięćdziesięcioletnią rocznicę rozpoczęcia przezeń działalności literackiej. Myśl to wyborna i prawdopodobnie serdecznie podjętą i wykonaną zostanie przez wszystkie organa publicystyki polskiej.

— W tych dniach opuścił prasę drukarską znanej firmy Józefa Ungra, wydawcy, czwarty tom „Dzieł Szajnochy“, mieszczący w sobie, dokończenie „Szkiców historycznych“, „Lechicki początek Polski“ i początek monumentalnego dzieła znakomitego naszego historyka „Jadwiga i Jagiełło“.

— Po trzeciej powieści historycznej J. I. Kraszewskiego drukującej się obecnie pt. „Bracia Zmartwychwstańcy,“ czwartą z kolei będzie „Masław“ już podobno napisany.

— „Towarzysza pilnych dzieci,“ czasopisma ilustrowanego dla młodzieży, wyszedł już nr. 1 i zawiera: Od redakcji; Do dzieci, wiersz Wł. Bełzy; powiastkę M. Bałuckiego pt. Poczciwe psisko; Wspomnienie o Lelewelu; Piękną rycinę rajskiego ptaka z objaśnieniem, pióra W. O.; Komedyjkę pt. Leniwy Staś uwieńczoną nagrodą konkursową; Drobne pyłki Józefa Chmielewskiego; Rozmaitości; Przegląd nowych dzieł dla młodzieży. Tak pod względem treści jak i starannego wydania „Towarzysz“ bardzo pięknie zaprezentował się swoim młodym czytelnikom. To też mamy nadzieję, że publiczność da poparcie temu pisemku, i pozwoli mu rozwijać się korzystnie, czego mu z całego serca życzymy. Zresztą, cena „Towarzysza pilnych dzieci,“ wynosząca 1 złr. kwartalnie, jest tak przystępną, że wstyd by był, aby Galicja utrzymać nie mogła jedynego dziś pisemka dla dzieci.

— „Kurjer codzienny“ donosi, że w Kongresówce jest teraz 13 towarzystw dramatycznych, a mianowicie; trupa Gaweckiego w Łęczycy, Grabińskiego przez lato w Warszawie występująca w Alkazarze, z miasta Łodzi wyjeżdża do Piotrkowa; Kasprzykowskiego w Poddębicach (pow. Łęczycki), zkąd wyruszyła do Mszczonowa i Nowegomiasta; Kopystyńskiego w Lublinie; Krauzego z Siedlec udała się do Łomży i Suwałk; Krzyżanowskiego przebywała w Opocznie i Końskich, a teraz ma pere-

grynowac po Suchedniowie, Mielcach, Jądrzejowie, Pińczowie Wodzisławiu i Miechowie; Modzelewskiego ukończywszy przedstawienia w Łowiczu, wybierała się do Płocka, a nawet i do Torunia, lecz potem zmieniła plan swego pobytu i grywała w Ciechocinku, a następnie w Aleksandrowie pogranicznym; Okońskiego z Rypina osiedliła się w Dobrzyniu nad Drwęcą; Ratajewicza przybyła do Warszawy z Kalwarji, zkąd zamyślała robić wycieczkę do Aleksoty, zamówiona jednak do Warszawy, grywała kolejno w Antokolu, pod Lipką, wreszcie w Alkazarze, teraz lokuje się w Biały; Stobińskiego wystawiła szereg widowisk w Żyrardowie (Ruda Guzowska,) obecnie występuje w Ostrołęce; Teksla z Alhambry Warszawskiej wyrusza do Radomia i Kielc; Trapszy z Warszawskiego Eldorado udaje się najpierw do Łodzi potem do Kalisza; trupa poznańska (Doroszyński i Terenkoczy) w przejeździe z Poznańska do Warszawskiego Tivoli, dała kilka przedstawień w Kaliszu, obecnie kończy tu przedstawienia i powraca do Poznania. Prócz tych towarzystw kółko dramatyczne Cybulskiego występowało chwilowo w Skierniewicach; dalej trupa Choromańskiego (dziś już rozwiązana) prezentowała się w Sieradzu; Bucholtza w Janowie Lubelskim; Łobojki w Łęczycy, zkąd jak donoszono zamierzała wyjechać do Kutna i Kalisza; Dębskiego, która gościła w Dąbrowie Górniczej, jest już rozwiązaną. Notujemy dalej, iż zapowiadano także na letni sezon widowiska w którymś z ogródków warszawskich pod zarządem Szlązkowskiego, do czego jednak nie przyszło.

— *Czas* donosi: Dyrektor Towarzystwa muzycznego w Krakowie, p. Stanisław Niedzielski, zamierza zająć się wydaniem polskich chórów i kwartetów męskich, kościelnych i świeckich, które rozproszone są w rękopismach, bądź po archiwach kościelnych, bądź u osób prywatnych. Dotychczas nie mamy takiego zbioru i dla tego znaczna liczba utworów wokalnych ginie w niepamięci, mało zaś które przechowują się przepisywane. Należałoby, aby kompozytorowie, posiadacze rękopismów muzycznych tego rodzaju i organiści, zechcieli się znieść w tej sprawie z p. Niedzielskim i poparli jego zamiar.

— W oddziale antropologicznym angielskiego Towarzystwa naukowego, którego roczne zgromadzenie odbyło się niedawno w Glazgowie, miał prof. Barett odczyt „o niektórych fenomenach, które w normalnym stanie ducha się objawiają," z szczególnem uwzględnieniem mezmeryzmu, czyli wywołanego somnambulizmu. Zauważał on, że niegdyś między mężami nauki było rozpowszechnionem zaprzeczać prawdziwości spostrzeżeń Mesmera i wszystko w śmiech obracać. Prof. Barett przytacza rezultaty niektórych doświadczeń, które czynił wraz z jednym ze swoich przyjaciół. Zmezmeryzowali pewną dziewczynę i znaleźli, że nie można było spostrzedz żadnego wyrazu czucia, jeżeli ono nie było wywołanem ciśnieniem powyżej brwi. Gdy nacisk ustał, dziewczyna padała znów bez przytomności i traciła wszelką kontrolę swych poruszeń muskularnych. Gdy nacisk wznowiono, odpowiadała natychmiast, a jej czynności i wyrażenia były dziwnej rozmaitości, przyczem tylko miejsca na głowie, które naciskano, zmienić potrzeba było. Prof. Barett przytaczał te fakta, aby się zapytać, czy staranne i systematyczne studjowanie nie rzuci światła na lokalizację funkcyj umysłowych. Przy drugiem doświadczeniu podmiot był nadzwyczaj czułym na głos i czynności operatora. Potrzebował wymówić tylko imię podmiotu, i to tak cicho, że nikt z otaczających nie słyszał, a natychmiast otrzymywał odpowiedź. Nawet gdy operator dom opuścił i zawołał dziewczynę po imieniu, odpowiadała ona coraz ciszej, coraz ciszej w stosunku do odległości. Dr. Carpenter skonstatował liczne fakta na dowód, że wrażliwość osób wprowadzonych w sen mezmeryczny wzrasta do nadzwyczajnego stopnia, a jako przykład podał, że pewien młody człowiek był w stanie za pomocą powonienia rozpoznać, w ręku której osoby pewien przedmiot się znajdował. Prof. Barett następnie przytoczył przykład, że pewna dziewczyna irlandzka, która nigdy w życiu nie opuszczała swej wsi rodzinnej, skreśliła mu najdokładniejszy obraz ulicy Regent-Street w Londynie, podczas gdy on o niej myślał i najdokładniej oznaczyła czas na zegarze ratuszowym w Londynie. To doprowadziło go do przekonania, że pewien obraz w myśli operatora, powoduje powstawanie takiego samego w umyśle podmiotu. Zanim te zjawiska uznane zostaną za fakta, potrzeba dalszych dowodów, ale jest nierozsądnem tylko niewiarą jako granicę naszych wiadomości oznaczać! Profesor omawiał następnie nowe, cudowne fakta zjawisk spirytystycznych i utrzymuje, że one prędzej czy później zwrócą na siebie uwagę uczonych. Po ożywionej dyskusji, prezydent oddziału Russell Wallasse postawił wniosek, aby wybrać komitet dla ścisłego zbadania tego przedmiotu. Na zakończenie dr. Carpenter przytoczył fakta, że zauważał u wielu osób zdolność zgadywania cudzych myśli, i prosił, aby się i tą kwestją zająć.

Szkolnictwo.

— Zorganizowanie ośmioklasowej szkoły wydziałowej żeńskiej we Lwowie zostanie stopniowo dokonane tak, iż w roku szkolnym 1876/7 zostanie otworzoną 5ta klasa przy szkole ludowej imienia Elżbiety na Zielonem. Do tej klasy 5tej jako zawiązku szkoły wydziałowej można się zapisywać od dnia 1go do 8go października 1876 w dyrekcji szkoły żeńskiej im. Elżbiety. Warunkiem przyjęcia jest tylko świadectwo z ukończonej 4tej klasy szkół ludowych.

— P. Ernest Pruszyński, założył w Krakowie nową szkołę gimnastyki higjenicznej i ortopedycznej. Rada miejska zezwoliła na używanie w tym celu lokalu gimnastycznego miejskiego w gmachu Franciszkańskim.

Gospodarstwo

— Francuski „Journal Officiel" zapowiada utworzenie w Paryżu narodowego instytutu dla podniesienia rolnictwa. Celem instytutu będzie: 1) Właścicieli ziemskich tak kształcić, by posiadali wszelkie wiadomości potrzebne do dokładnego poznawania ziemi. 2) Kształcić oficjalistów, ktorzyby potem mogli przyjmować obowiązki w dobrach bądź rządowych, bądź prywatnych. 3) Mianować profesorów dla rolniczych szkół prowincjonalnych i dyrektorów dla poszczególnych stacyj gospodarskich. Instytut będzie miał osobną stację dla doświadczeń gospodarskich.

— Z Saratowa piszą do „Petersburgskich Wiedomosti", że żegluga parowa na Wołdze zaczyna wprowadzać na swoich statkach parowych naftę, jako materjał opałowy do maszyn zamiast używanego dotąd drzewa. Naftą opalają już kilka parostatków. Mówią, że w sferach rządowych opracowywa się już projekt obowiązkowego wprowadzenia nafty na statkach. Ekonomiczne znaczenie tej reformy nie ulega najmniejszej wątpliwości, jeżeli weźmiemy na uwagę, że na samej Wołdze kursuje do 500 statków parowych, z których każdy będąc w ruchu, spotrzebowywa przecięciowo do 30 sążni drzewa dziennie, statki zaś parowe nowego amerykańskiego systemu zużywają go na dzień nawet do 70 sążni.

Handel.

— Kości słoniowej sprowadzają corocznie do Europy podług wykazu „Journal Officiel", 13,000 centnarów, z których sama Anglia spotrzebowuje rocznie 7,000 centnarów, a nożownicy w Sheffield 4,000. Kły słoniowe bywają rozmaitej wielkości, od 1 do 165 funtów wagi; przeciętna ich waga wynosi 38 funtów. Cena kości słoniowej także bywa różną: od 57 do 68 funtów szterlingów za 100 kilo. Dla dostarczenia przemysłowcom angielskim potrzebnej ilości tej kości, ginąć musi corocznie 50,000 słoni. Bombaj i Zanzibar dostarczają rocznie 3,200 centnarów, Alexandrja i Malta 3,600, zachodnie wybrzeże Afryki 400, Przylądek Dobrej Nadziei 1000 a Mozambique 280 centnarów. Do Bombaju dowożą kość słoniową ze wszystkich okolic południowej Azji i z zachodniego wybrzeża Afryki; większą część tejże jednak wysyłaną bywa na targi chińskie i indyjskie, a tylko reszta na Europejskie. Alexandrja i Malta ściągają ten towar z Afryki północnej i środkowej, z Egiptu i krain nadnilowych. Największych kłów dostarczają słonie afrykańskie, a targowiskiem na nie jest Zanzibar. Kość tych słoni jest bez skaz, zupełnie nieprzezroczysta i nie łupiąca się, z którego to powodu lepiej niż inne użyć się da do wszelkich wyrobów misternych. Kość słoniowa pochodząca z nad rzeki Gabona i targów położonych po drugiej stronie równika, nazywana jest przez kupców „srebrzystą", kość ta przez długi czas nawet wystawiona na wpływy powietrza nie traci naturalnej swej barwy jak inne rodzaje, n. p. azjatyckie i wschodnio-afrykańskie, które z czasem zabarwiają się brunatno. Do wyrobów cyzelowanych najwięcej jest poszukiwaną kość słoniowa z Siamu, która jest drobno ziarnista i przeźroczysta. Od czasu do czasu także z okolic podbiegunowych przywożą na targi po kilkadziesiąt centnarów kości słoniowej z zwierząt przedpotopowych, które przez wieki pogrzebane w lodach zakonserwowały się aż do naszych czasów Niektóre kły tych zwierząt mogą iść w porównanie z najlepszą kością słoniową w tych czasach uzyskaną.

Podróże.

— Kongres geograficzny w Brukseli odbył w dniach 13 i 14 bm. posiedzenia pod przewodnictwem króla belgijskiego, na których między innemi uchwalono i szczegółowo ułożono program wielkiej wyprawy naukowej w celu zbadania nieznanych jeszcze obszarów Afryki środkowej. W tym celu mają być przedewszystkiem założone na wybrzeżach i w głębi Afryki stacje dla wypraw naukowych o charakterze międzynarodowym, tj. kosztem wszystkich krajów cywilizowanych. Przedsięwzięcie całe powierzone będzie kierownictwu komitetu międzynarodowego, złożonego z reprezentantów komitetów różnokrajowych. Na jednogłośne życzenie członków kongresu król belgijski objął prezydencję owego komitetu wykonawczego na przeciąg jednego roku; członkami zaś komitetu mianowani: Sir Bartle-Frère, Quatrefages i Nachtigal. W końcu admirał francuski de la Ronciére le Nourry imieniem członków kongresu wyraził królowi-prezydentowi podziękowanie za szlachetną inicjatywę w przyprowadzeniu do skutku kongresu, oraz za wspaniałą gościnność, z jaką uczonych podejmowano w Brukseli, i na tem kongres został zamknięty.

Wojskowość.

— Wydany przed kilkoma dniami w Paryżu „Rocznik armji francuskiej" podaje następujące szczegóły. Sztab jeneralny składa się z czterech marszałków: Mac-Mahon, Canrobert, Baragaay d' Hilliers i Leboeuf. Pierwsza sekcja jeneralnego sztabu liczy 100 jenerałów dywizyjnych i 200 brygady; druga 78 jenerałów dywizyjnych i 182 jenerałów brygady. Potem następuje 410 pułkowników i tyluż podpułkowników, 2.100 majorów i rotmistrzów. 7.205 kapitanów, 5.208 poruczników i 5.622 podporuczników. W podanych powyżej liczbach nie mieści się 44.000 oficerów wszelkich stopni, należących do rezerwy. Rocznik ten podaje też po raz pierwszy nazwiska oficerów armji terytorjalnej. Piechota czynnej armji składa się ze 144 pułków linjowych po 5 bataljonów każdy, 30 bataljonów strzelców o 4 kompanjach i 2 kompanjach, 4 pułków żuawów, 3 pułków afrykańskich tyralierów legji zagranicznej, 3 bataljonów lekkiej afrykańskiej piechoty i 5 kompanij karnych. Artylerja liczy 28 pułków i pułk pontonierów artyleryjskich, 10 kompanij roboczych, 3 kompanje rakietników i 57 kompanij pociągów artyleryjskich. Każdy pułk ma 13 bateryj. Kawalerja liczy 77 pułków: 12 pułków kirasjerów, 26 pułków dragonów, 20 pułków konnych strzelców, 12 pułków huzarów, 4 pułki strzelców afrykańskich i 3 pułki spahów, prócz tego jeszcze 8 kompanij remontowych. Korpus inżynierski składa się z 4 pułków po 5 bataljonów o 4 kompanjach; pociągi z 20 szwadronów o 3 kompanjach.

— Prusacy uzbrajają Metz bezustannie, jak gdyby w tej twierdzy mieli na wieki pozostać. I tak na osobnych w tym celu sporządzonych wozach, przywieźli tam ostatniemi czasy części olbrzymiej wieży pancernej, która stanie na porcie Momstein. Płyty pancerne z których każda waży od 500 do 600 centnarów wywożą także przy pomocy nowej lokomotywy, która wspina się nierównie wyżej na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, niż wszystkie dotychczasowe. Wieża pancerna będzie przed wałami tak ustawiona, że z niej będzie można ostrzeliwać wszystkie wyżyny leżące przed St. Privat. Pod dachem, zbudowanym w kształcie kopuły, którą tworzą płyty żelazne grubości pół metra, znajdują się cztery otwory, a w nich będą pomieszczone cztery działa stalowe wielkości pierwszorzędnej. Inne porty mają także otrzymać podobne wieże pancerne.

ROZMAITOŚCI.

— „Die schönen Tage von Aranjuez sind nun zu Ende“ — któż z nas przynajmniej raz w życiu w stosownej okoliczności nie zacytował tych słów pamiętnych ojca Dominga z „Don Karlosa“ Szyllerowskiego? Powiedzenie to znane ogólnie, można dziś bez wątpienia z większą słusznością zastosować do tej sławnej rezydencji letniej królów hiszpańskich, niżeli za czasów Filipa drugiego, owego fanatycznego despoty, któremu historja przypisuje straszną zasługę, iż to on właśnie przywiódł do najwyższego rozwoju okrutną instytucję inkwizycji, i tem założył podwaliny do socjalnego i politycznego rozkładu, trapiącego dziś jeszcze tę piękną i tak błogosławioną niegdyś krainę. Mimo to Hiszpanja zawdzięcza temu groźnemu Filipowi, niejeden pomnik długowiecznej wartości: on powołał do życia wiele znacznych zbiorów sztuki, zakładał i wspierał hojnie bibljoteki i inne naukowe instytucje, i on przedewszystkiem myślał gorliwie i skutecznie o upiększeniu swej rezydencji architektonicznemi arcydziełami. Najprzedniejszym jego utworem jest bezsprzecznie letni pałac w Aranjuez, którego rozległe budowle i cudowne ogrody stanowią posiadłość iście królewską. W odległości 37 kilometrów na południe od Madrytu, jest połączony ze stolicą doskonałym gościńcem, a od r. 1853 także koleją żelazną idącą do Alicante. Główny budynek zamku ma od frontu szerokość 21 okien i jest na każdym rogu małą wieżyczką zdobny. Zewnątrz architektura nie przedstawia oku nic nadzwyczajnego: prosta ale traktowana nader szlachetnie; późniejsze dodatki i powiększenia dają się zupełnie odróżnić, nie można jednak powiedzieć, by kontrastowały z pierwotnym stylem. Obszerny, później wzniesiony gmach poboczny, służył za mieszkanie infantom wraz z ich dworem, a właściwy zamek pozostawał wyłącznie dla pary królewskiej. Urządzenie zamku wewnętrzne odpowiada zupełnie powierzchowności: nosi cechę nie błyskotliwej, lekkiej elegancji, ale dumnej, majestatycznej powagi. Wschody i korytarze są przystrojone biustami i posągami, ściany w wielkiej części marmurem wyłożone, a sufity wszędzie arabeskami i allegorycznemi scenami, ręką mistrza ozdobione. W jednem skrzydle zamku mieści się teatr. Amfiteatr okalający arenę dla walk byków, jest zbudowany starorzymskim sposobem we dwa rzędy siedzeń dla 6000 widzów. Tu był niegdyś punkt zborny arystokratycznych rodów hiszpańskich, które, jeśli nie należały bezpośrednio do otoczenia dworskiego, otrzymywały od króla osobne zaproszenie na te „harce narodowe.“ Kaplica zamkowa w swej szacie pierwotnej, zanim ją późniejsi architekci na gorsze przekształcili, była istnem arcydziełem sztuki budowniczej. Dziś największą jej ozdobą są malowidła nieocenionej wartości, pomiędzy niemi zaś na pierwszem miejscu Tycjana arcymistrzowski utwor: „Zwiastowanie Najśw. Panny.“ Gdy Wenecja, dla której ten obraz był przyznaczony, tak zresztą pod względem smaku estetycznego wybredna, nieprzychylnie utwór genjalny oceniła, malarz darował go Karolowi V. Główny ołtarz zdobi malowidło Mengs'a wyobrażające świętą Rodzinę; drugie obszerne płótno, św. Antoni z Padwy, jak również kilka innych, pomieszczonych w zakrystji, pochodzą od Włocha Corrado Giaquinto, który przebywał dość długo na dworze Ferdynanda VIgo. Sale i komnaty zamkowe pełne są innych różnych arcydzieł, z pośród których na szczególną uwagę zasługują cztery wielkie sceny z historji starobiblijnego Józefa, zdobiące ściany sali jadalnej. Są one pędzla Giordana, jak również malowidła w innem miejscu, w t. z. „starym gabinecie.“ Pokoje króla, buduary królowej, sale recepcyjne itd. posiadają równie wielką ilość cennych dzieł sztuki, mianowicie: portretów rodzinnych, scen mitologicznych i pejzażów włoskich pędzla Mengs'a, Bonita i Maza. Szczególne zamiłowanie żywili królowie hiszpańscy dla zbiorów porcelany. Dzięki temu, Aranjuez posiada najbogatszą i najcenniejszą tego rodzaju kollekcję, jakkolwiek z samych tylko wyrobów fabryki królewskiej w Buen Retiro. Atoli najwspanialszą ze wszystkiego ozdobą zamku, są ogrody, nie mające pod względem rozległości i przepychu, w całym świecie nic sobie równego. Szerokie aleje olbrzymich wiązów, przecinające park w licznych kierunkach, zbiegają się wszystkie do jednego środka, a widziane z góry tworzą istną gwiazdę imponujących rozmiarów; tu i owdzie niby od niechcenia, rozrzucono grupy rzadkich drzew, szmaragdowe trawniki i różnobarwne grządki kwiecia, długie szpalery żywopłotów, prowadzonych umiejętną ręką ogrodnika, dalej purpurowe kwiaty niezwykłych kaktusów i aloesów, wystrzelające dla rozmaitości z świeżej zieleni. Dodajmy woń roskoszną kwitnących drzew pomarańczowych i cytrynowych, szmer fontan spadających do marmurowych basenów, liczne posągi starorzymskiej mitologji, zaludniające park, w końcu świegot ptactwa napełniającego łagodne powietrze, a będziemy mieć skończony obraz ziemskiego raju. Największą z fontan jest przedstawiająca Neptuna, a jej promień wody przewyższa wszystkie inne. W pośrodku basenu wznosi się bożek mórz, stojący na rydwanie z muszli, brzeg basenu ubiera 7 bronzowych posągów, z tych największy Jowisz ciskający pioruny na Gigantów zdobywających Olimp. Posągi te są dziełem włoskiego rzeźbiarza Allessandro Algardi. Druga z kolei znaczniejsza fontanna nosi nazwę fontanny Trytonów, i choć mniejsza od poprzedniej, przewyższa ją pod względem sztuki. Ta jest dziełem hiszpańskiego rzeźbiarza Alonso Berriguette (um. r. 1561) który będąc na dworze Karola Vgo ozdobił ślicznemi rzeźbami swojemi pałac w Granadzie, ratusz w Sewilli i katedrę w Toledo. Reszta fontan, mniejszych co do rozmiarów i wartości, jako utwory sztuki, nie mniej jednak mogłyby śmiało zdobić każdy park książęcy. Wszystkie prawie przedstawiają sceny z mitologji a bądź są kute z marmuru bądź lane z bronzu. Wody potrzebnej dostarcza pobliskie jezioro Mar de Ontigala, połączone kanałami z Aranjuezem. Wioska Ontigala była dawniej letnią siedzibą posłów zagranicznych, a i dziś skutkiem ślicznego położenia, służy za miejsce villegiatury licznym rodzinom madryckim. Cały park mało co zmienił się z biegiem wieków i w głównych zarysach nosi tę samą cechę, co za czasów założyciela swojego. Rozpada się na 3 części: La Huerta Valenciana, los Deleitos i el Cortijo. Właściwy ogród zamkowy nazywany bywa także „Isla,“ wyspa, gdyż Filip II dla łatwiejszego nawodniania otoczył go kanałem idącym z rzeki Tajo. Dwa wodospady, upiększające park w wysokim stopniu, są również dziełem Filipa. Ogród infanta Don Luis'a, stanowiący sam dla siebie całość pewną, jest przepełniony cały biustami królów hiszpańskich. Co do samej miejscowości Aranjuez, jest to wcale schludne miasteczko, założone na wzór holenderski, liczy około 10000 mieszkańców, i posiada piękne aleje, szerokie ulice i przyjemnie zalecające się biało tynkowane o zielonych oknach domki. Aranjuez wraz z ogromnemi przyległemi obszarami ziemi należało pierwotnie do bogatego Zakonu rycerzy Sanct Jago, którego członkowie zjeżdżali się tu często na polowania szumne. Na jednej z takich wypraw, Karol V upodobał sobie okolicę i nabył całą posiadłość od Zakonu. Atoli dopiero następca jego wybudował zamek i otoczył go parkiem. Aranjuez było często widownią świetnych uczt i zabaw; najweselsze jego czasy przypadają pod panowaniem Ferdynanda VIgo, gdy śpiewak a późniejszy minister Earinzelli, na cześć królowej Marji Barbary, urządzał jedną zabawę po drugiej. W tych to właśnie czasach zrodziło się przysłowie francuskie: „Ils sont passés les jours d'Aranjuez,“ ktorem pół wieku później wielki poeta niemiecki rozpoczął jeden z mistrzowskich dramatów swoich. Historja żadnej znaczniejszej roli nie wyznaczyła tej głośnej rezydencji monarchów hiszpańskich, i jeno dwa razy zapisała nazwiska jej w swoich annałach. Pierwszy raz, gdy 12 kwietnia 1772 zawarty tu został między Francją a Hiszpanją traktat, którym ostatnia zobowiązała się udzielić Francji pomocy w właśnie co wybuchłej wojnie przeciw Anglji. Więcej znacznem jest drugie zdarzenie historyczne, związane z nazwiskiem Aranjuez. Jest niem rokosz z 17 marca 1808, który ostatecznie skierował się przeciw wszechpotężnemu ministrowi Karola IVgo, tak zwanemu księciu pokoju, Don Godoy. Napoleon dążąc do zagarnięcia pirynejskiego półwyspu, szukał tylko pierwszej lepszej sposobności, by wystąpić w Hiszpanji z siłą zbrojną. Atoli rząd Karola wystrzegał się pilnie najmniejszego nawet pozoru, któryby dał cesarzowi francuskiemu rację do interwencji zbrojnej. Dopiero z pomocą intryg dyplomatycznych udało się Napoleonowi cel osięgnąć. Don Godoy ambitny i chciwy władzy, dał się uwieźć zgubnym nadziejom uzyskania korony i wpływami swemi wymógł u króla wypowiedzenie wojny sąsiedniej Portugalji. To było dostatecznym dla Napoleona powodem do wystąpienia w dawno upragnione szranki celem podbicia sobie zupełnego Hiszpanji. Godoy, widząc Francuzów przekraczających Pireneje, namówił rodzinę królewską do ucieczki do Meksyku. Atoli infant Don Ferdynand, syn Karola IVgo i następca tronu, sprzeciwił się stanowczo temu przedsięwzięciu, i postanowił skorzystać z tej sposobności, by zwalić potęgę znienawidzonego Godoy. Gdy lud zwabiony przygotowaniami do podróży zgromadził się przed zamkiem, książę udał się do gwardji królewskiej i zawołał: „Godoy jest zdrajcą, chce uprowadzić mojego ojca. Nie dozwólcie na taką zbrodnię.“ Żołnierze oświadczyli natychmiast gotowość przeszkodzić odjazdowi króla, a lud zaledwie dowiedział się o zamiarach gwardji, przyłączył się do niej i wybuchnął z całą wściekłością przeciw zdrajcy. Pałac jego zniszczono on sam ledwie potajemnie uszedł niechybnej śmierci.

— Najstarszy syn proroka mormonów, Brighama-Younga, przejeżdżał niedawno przez Paryż w towarzystwie sześciu „elders“ czyli starszych. Udają się oni do północnych Niemiec i krajów Skandynawskich w celu szerzenia tam nauki „świętego ostatnich dni“ i zyskania sobie stronników. Według bowiem ostatniego spisu ludności, ilość mormonów osiadłych w Utah zmniejszyła się w porównaniu z poprzedniemi latami. Całkowita ludność nie przechodzi teraz już 82,000 dusz, z których 43,000 mężczyzn a 39,000 kobiet. Zdaje się, że pomimo wpływu jaki jeszcze dotąd posiada Brigham-Young; dla mormonizmu zaczął się już perjod upadku. Z jednej strony naciskają ich nieprzyjazne i do zagłady ich dążące Stany Zjednoczone, z drugiej znów coraz bardziej zalewają kraj settlerowie Kanzasu i pionierowie amerykańscy, którzy na Północy tworzą już znaczne kolonie, dość potężne aby wywołać reakcję przeciw polygamji. Przewidują że sekta założona w r. 1827 przez Joe Smitha, niebawem podzieli się na dwa nieprzyjazne sobie stronictwa, z których jedno będzie musiało drugiemu ustąpić miejsca. Mówią, że gdyby mormoni wierni starym zasadom mormonizmu, zostali zmuszeni opuścić wybrzeża wielkiego Słonego Jeziora, w takim razie syn Brighama Yunga, obiecuje przenieść ich na jednę z wysp Oceanu Spokojnego, gdzie na nowo odbudują swój kościół. Dwadzieścia trzy tysiące kobiet, mających więcej nad 15 lat wieku, które podpisały dwa miesiące temu petycję do rządu Stanów Zjednoczonych na korzyść wielożeństwa, oświadczyły gotowość towarzyszenia mormonom, jeżeli emigracja ich okaże się potrzebną. W Europie liczą obecnie do 10,000 mormonów z tych 6,800 w Holandji a 3,000 w Niemczech, Szwajcarji i krajach Skandynawskich. Rzecz godna uwagi, że w południowych krajach mormonizm nie znajduje wcale prozelitów.

Od Redakcji.

Tow. br. pomocy w Dublanach. Mimo chęci najszczerszej nie możemy zadość uczynić. Jeżeli Towarzystwa żądają bezpłatnie, cóż więc mówić o osobach pojedynczych. W takim razie chyba wszystkim trzeba by posyłać bezpłatnie.

J. W. we Lwowie. Prosimy przysłać do naszej drukarni, a będą rozesłane.

Upraszamy szanownych Czytelników o odnowienie przedpłaty na kwartał bieżący, ponieważ prenumerata ubiegłego kwartału skończyła się z numerem poprzednim.

Treść Nr. 5.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).